



...MOCNIEJ PODEPRZEĆ STROPY...

...POUCZA DOŚWIADCZONY RĘBACZ ALFONS KALA SWEGO MŁODSZEGO KOLEGĘ, ABSOLWENTA SZKOŁY GÓRNICZEJ. O NAJMŁODSZYM POKOLENIU GÓRNIKÓW PISZEMY W REPORTAŻU ZAMIESZCZONYM NA STRONIE 10
Fot.: „Świat” — J. Kosidowski

HOTEL, w którym mieszkam, nazywa się Ho-Ping. Tu, w Chinach, słyszy się to słowo na każdym kroku. Ludzie wymawiają je z uśmiechem na ustach, tak samo jak u nas, w Polsce, ludzie uśmiechają się mówiąc — Pokój. Bo Ho-ping znaczy po chińsku Pokój.

Przed trzema miesiącami na miejscu, gdzie wznosi się dziś wspaniały, luksusowo urządzone, ośmiopiętrowy gmach, stały nadwątłone przez czas niskie domy. Trudno w to uwierzyć, kiedy się na gmach hotelu patrzy, kiedy się w nim mieszka. Przecież trzy miesiące to tak niewiele...

Ale w kraju, w którym zwyciężyła rewolucja, w kraju, którego 500 milionów mieszkańców żyje wolą pokoju i walką o pokój, nie ma rzeczy trudnych i dlatego gmach stanął dokładnie w ciągu 75 dni. Chińscy robotnicy i inżynierowie budowali Ho-Ping Pien Kuan Hotel — Pokój nie szczędząc wysiłku. Chcieli w ten sposób uczcić zwołanie Kongresu Obróńców Pokoju krajów Azji i strefy Pacyfiku. Chcieli swym czynem uczcić i powitać delegatów przybyłych z ponad 30 krajów dla podjęcia historycznych uchwał; chcieli dać w ten sposób wyraz swej solidarności z wszystkimi miłującymi pokój narodami. „Nie ma większego zaszczytu, niż praca dla pokoju — tłumaczył mi jeden z budowniczych hotelu, Li Szen-czen. — O tym wie dobrze nasz naród, który o pokój, niepodległość i wolność walczył przez długie dziesiątki lat. Wola pokoju jest naszym natchnieniem w pracy i ta sama wola jest źródłem bohaterstwa naszych synów, walczących przeciw napastnikom na Korei”.

Korytarze i sale naszego hotelu rozbrzmiewają wielojęzycznym gwarem.

HO-PING — ZNACZY POKÓJ

Radiogram własny „Świata” z Pekinu

Późno w noc przesiadują wokół niskich stolików delegaci z różnych krajów. Zanim zacznie się konferencja, trzeba się zapoznać, wymienić poglądy, powiedzieć o sobie, o swoim kraju. Chińscy tłumacze — niektórzy z nich zaczęli się uczyć np. hiszpańskiego przed 6 tygodniami — uwijają się jak w ukropie.

Delegaci nie zawsze władają językiem zrozumiałym dla wszystkich, a dyskusje są gorące. Oto siedzą naprzeciw siebie delegat brytyjskich związków zawodowych i delegat walczącego o swą wolność narodu malajskiego. Malajczyk opowiada o walce, którą toczy jego naród na wszystkich krańcach swej ojczyzny. Chwilami oczy jego ciemnieją i zapala się w nich gniewny błysk. Mówi wtedy o zbrodniach, jakie popełniają kolonizatorzy brytyjscy. Mówi o wsiach zniszczonych z powierzchni ziemi przez brytyjskich piratów powietrznych za to, że mieszkańcy nie chcieli wydać bojowników o wolność.

Brytyjski robociarz słucha ciężkich oskarżeń ze spuszczoną głową. Dotąd znał prawdę tylko ze swojej gazety — „Daily Worker” demaskującej zbrodnie żołdaków generała Templera. Ale żaden opis, żadne notatki prasowe, nie są w stanie oddać cierpienia narodu malajskiego i jego bohaterstwa tak bezpośrednio i prawdziwie, jak opowiadanie człowieka, który sam przeszedł przez piekło

kolonialnego systemu. Więc Anglik słucha i poważnie kiwa głową. Nagle Malajczyk przerywa w pół zdania, zrywa się i wyrzuca z siebie kilka słów w ojczystym języku. Tak mu łatwiej wyrazić swą myśl. Chiński tłumacz powtarza za nim po angielsku: „Nie myśl, że nasza nienawiść wymierzona jest przeciwko narodowi angielskiemu. Tak twierdzi prasa naszych wrogów. Ale to nieprawda, my szanujemy twój naród, twoich braci — robotników. Nienawidzimy tylko naszych ciemnieńców, a oni przecież walczą nie tylko przeciw nam. Wasi imperialiści są także wrogami ludu angielskiego...”

Twarz Anglika rozpromienia się. Wstaje, chwytając Malajczyka za rękę i potrząsa nim w milczeniu. Wszystko zostało powiedziane i wszystko staje się jasne. Tych ludzi nie zdołał rozdzielić imperializm, są razem w jednym obozie, są szermierzami tej samej idei pokoju i braterstwa narodów.

Właściwie, pisząc z Chin, należałoby przekazać egzotykę kraju, ludzi, barwność pejzażu, koloryt wulkanu życia, jakim jest Pekin. Ale na to przyjdzie kolej dopiero za parę tygodni. Na razie głównym tematem jest nadchodzący Kongres Obróńców Pokoju, z którym związane są nadzieje i marzenia miliarda 600 milionów mieszkańców Azji i obszaru Pacyfiku.

Pierwsze pytanie, jakie zadają sobie nawzajem delegaci na konferencję, brzmi: jakie trudności mieliście z uzyskaniem paszportu? Nie jest to pytanie przypadkowe. Delegaci z krajów kapitalistycznych i kolonialnych znają dobrze prawa rządzenia kapitału. Zaczynają się więc opowiadania o szyskanach, których nie skąpiły rządy wysłannikom narodu. Kilku Australijczyków, którzy już są w Pekinie, opuściło swój kraj na łodziach rybackich. Kilku Japończykom udało się nielegalnie wydostać spod „opieki” amerykańsko-japońskich wrogów pokoju. Amerykańscy rozkazodawcy kapitalistycznego świata nie szczędzili wysiłków, by skoordynować system szyskan i utrudnień. Jeśli już ktoś miał paszport i opuścił swój kraj, to czyniono mu niezliczone trudności w podróży. Odmawiano miejsca w samolotach, odmawiano wiz tranzytowych, odsyłano z kraju do kraju — byle tylko opóźnić przyjazd posłów pokoju do Pekinu.

„Co będzie z większością spośród nas po powrocie? — mówi z gorzkim uśmiechem Jorge Adoun. — Na lotnisku lub

w porcie oczekiwać nas będzie policja. Tak będzie nie tylko w mojej ojczyźnie, lecz także w większości krajów Ameryki Łacińskiej. Nasze rządy spełniają posłusznie wszystkie rozkazy Waszyngtonu, ale my wiemy, że za kordonu policji witać nas będą tysiące i miliony robotników i chłopów. Miliony uczciwych ludzi, którzy nas tu wystali i kazali nam powiedzieć: Nienawidzimy imperialistów, wrogów ludzkości, kochamy pokój i niepodległość, nie spocznemy, dopóki pokój nie zostanie utrwalony”.

Ju-Sun, były żołnierz Chińskiej Armii Narodowo-Wyzwoleńczej, tłumaczy kilku otaczającym nas Chińczykom słowa Adouna. Ich twarze promieniają radością, ściskają radośnie Ekwadorczyka, wyrażając w ten sposób swoje uznanie dla niego i wszystkich takich jak on wysłanników pokoju.

Wieczorem na pekińskich ulicach płoną barwne lampiony. W ich blasku mieni się delikatna czerwień sztandarów przed naszym hotelem. Gromadzą się ludzie i przyjaznymi okrzykami, uśmiechami, wymachiwaniem rąk witają każdego wychodzącego delegata. Trudno przecisnąć się przez ten tłum przyjaciół i niejeden z delegatów zostaje w nim, szukając w gestach i uśmiechu środków porozumienia się. Ale nic, przyjaźni i zrozumienia nie trudno nawiązać. Wystarczy jedno magiczne słowo Ho-Ping.

Wieczorem na ulicach Pekinu nie milknie gwar i długo w noc nie gasną światła. Z okien domów zwisają transparenty czerwone, bo taki jest kolor rewolucji, i zielone, bo taki jest w Chinach kolor pokoju. Złote i czarne hieroglify mówią o tym, jak serdecznie i radośnie wita naród chiński swe narodowe święto: trzecią rocznicę proklamowania republiki ludowej i święto narodowe Azji i Pacyfiku: otwarcie Kongresu Pokoju.

Z rozwieszonych portretów spoglądają na snujący się tłum oczy Mao Tse-tunga. Jemu i partii, której on przewodzi, zawdzięcza naród chiński swą wolność i rosnącą z dnia na dzień potęgę. Jemu i rządowi, którego pracami on kieruje, zawdzięcza naród chiński, że Pekin stał się dziś miastem Pokoju, że stąd popłynie w świat głos miliarda 600 milionów ludzi przeciwko zbrodniom imperializmu, przeciwko siewcom dżumy i cholery, mordercom koreańskich dzieci, katom z Kożedo, dręczycielom narodów.

Nie pomógł skrzętnie wypracowany w zakamarkach FBI plan szyskan. Nie zdały się na nic bariery, którymi władcy krajów zależnych od Wall Street chcieli rozdzielić narody. W Pekinie głośno i dumnie rozbrzmiewa wymawiane w języku angielskim i hiszpańskim, japońskim i wietnamskim, francuskim i hinduskim, najpiękniejsze słowo, słowo które oznacza najszczytniejsze marzenia całej ludzkości. Po chińsku brzmi ono Ho-Ping i znaczy we wszystkich językach świata — Pokój.

MARIAN BIELICKI

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

PRZED WYBORAMI



Mieszkańcy miast i wsi odwiedzają tłumnie lokale komisyj wyborczych, aby sprawdzić, czy nazwiska ich umieszczone są na listach osób uprawnionych do głosowania.

SIEWCA BAKTERII ZEZNAJE



Przed międzynarodową komisją do badania wojny bakteriologicznej w Korei, zeznał lotnik amerykański John Quinn, który sam zrzucał bomby bakteriologiczne.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA

PRZECIWKO UWALNIANIU ZBRODNIARZY



W Belgii odbyły się potężne manifestacje ludności przeciwko ulaskawianiu i zwalnianiu z więzień znanych kolaborantów, współwinnych hitlerowskich zbrodni.

DNIA 5 PAŹDZIERNIKA ROZPOCZYNAJĄ SIĘ OBRADY XIX ZJAZDU WSZECHZWIAZKOWEJ KOMUNISTYCZNEJ PARTII (BOLSZEVIKÓW)



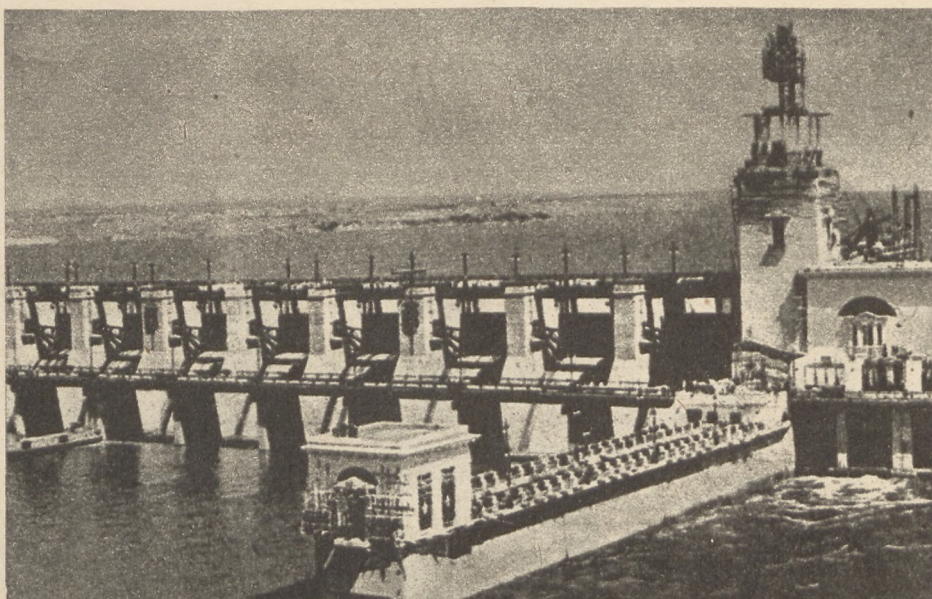
Sekretarz KC WKP(b) — Józef Stalin podpisał komunikat o zwołaniu na 5 października XIX Zjazdu WKP(b).

Porządek dzienny XIX Zjazdu WKP(b) przewiduje:



G. M. MALENKOW

1. Referat sprawozdawczy Komitetu Centralnego WKP(b) — referuje Sekretarz KC, tow. G. M. Malenkov.
2. Referat sprawozdawczy Centralnej Komisji Rewizyjnej WKP(b) — referuje przewodniczący Komisji Rewizyjnej tow. P. G. Moskatow.



3. Dyrektywy XIX Zjazdu Partii w sprawie piątego 5-letniego planu rozwoju ZSRR na lata 1951—1955 — referuje przewodniczący Państwowej Komisji Planowania tow. M. Z. Saburow.



N. S. CHRUSZCZOW

4. Zmiany w statucie WKP(b) — referuje sekretarz KC tow. N. S. Chruszczow.
5. Wybory centralnych organów Partii

Postępowa prasa pisze o XIX Zjeździe WKP(b)



RUMUNIA

Zwołanie XIX Zjazdu WKP(b) jest historycznym wydarzeniem o ogromnym znaczeniu międzynarodowym... Każdy sukces narodów radzieckich w wielkiej pracy twórczej, realizowanej pod sztandarem Lenina-Stalina, każdy krok naprzód, dokonany przez wielką komunistyczną partię bolszewików i państwo radzieckie, ma ogromne znaczenie międzynarodowe, bowiem wzmocnienie siły postępu i pokoju na całym świecie, wzbudza nową energię w sercach wszystkich ludzi pracy...



WŁOCHY

W roku 1955 produkcja przemysłowa w Związku Radzieckim wzrosła trzykrotnie w porównaniu z poziomem przedwojennym, przy równoczesnym systematycznym obniżaniu cen i stałym podnoszeniu stopy życiowej ludzi pracy, która już dziś przewyższa poziom przedwojenny i będzie wzrastać w coraz szybszym tempie.

Który z krajów kapitalistycznych może się pochłubić takim bilansem, jakiego dokona partia bolszewicka na swoim XIX Zjeździe? „Atlantyccy” i „zachodni” propagandyści nie wiedzą, jak odpowiedzieć na to pytanie. Tym właśnie nie można wytłumaczyć potok bzdur, absurdalnych przypuszczeń, sprzecznych komentarzy, przy pomocy których usiłują oni zmacić wodę i ukryć przed opinią publiczną krajów kapitalistycznych wielkie, historyczne znaczenie tego wydarzenia.



WĘGRY

Teraz, gdy KC WKP(b) opublikował projekt dyrektyw XIX Zjazdu Partii w sprawie piątego planu pięcioletniego rozwoju ZSRR, wszyscy uczciwi ludzie na całym świecie uświadamiają sobie, że plan ten, który wiedzie ZSRR naprzód po drodze do komunizmu, wiedzie także naprzód całą ludzkość do zwycięstwa sprawy pokoju, demokracji i socjalizmu...

Dla krajów demokracji ludowej, w tej liczbie i dla Węgier, piąty plan pięcioletni ZSRR jest wymownym przykładem sukcesów na drodze nowego życia, po której kroczą teraz te kraje.

Piąty plan pięcioletni jest poważnym ostrzeżeniem pod adresem podżegaczy wojennych, nową mocną przeszkodą na drodze sił dążących do wojny.



STANY ZJEDNOCZONE

Obowiązkiem wszystkich Amerykanów wobec samego siebie i wobec naszego kraju, niezależnie od tego, co myślą o socjalizmie czy komunizmie, jest poważne zainteresowanie się Zjazdem Partii Komunistycznej Związku Radzieckiego. Doświadczenie przeszłości uczy, że te wielkie zjazdy są ogromnym wkładem do historii międzynarodowej. Na przykład zjazdy partyjne w latach 30-tych, na których powzięto decyzję uprzemysłowienia Związku Radzieckiego w ciągu 10 lat przy pomocy słynnych pięcioletek, pomogły ocalić świat przed hitlerowskim podbojem.



CZECHOSŁOWACJA

Setki milionów prostych ludzi na całym świecie codziennie przekonują się,

że ZSRR poświęca całą swą ogromną siłę i autorytet państwa socjalistycznego walce o utrzymanie pokoju...

W tym samym czasie, gdy amerykański imperializm drogą zwiększenia ogromnych ciężarów wojennych pogłębia wyzysk, „partia Lenina-Stalina daje narodowi radzieckiemu, który nie zna wyzysku i żyje w warunkach dobrobytu materialnego i kulturalnego — wspaniałą perspektywę dalszego ogromnego podniesienia poziomu życia.



FRANCJA

Jaka uderzająca różnica między światem kapitalistycznym, który z każdym dniem pogrąża się coraz bardziej w nędzy i chaosie, a nieprzerwanym rozwojem Związku Radzieckiego, który kroczy od sukcesu do sukcesu na drodze do komunizmu, do realizacji odwiecznych marzeń ludzkości, do społeczeństwa sprawiedliwego, do ustroju braterstwa, gdzie nie tylko niemożliwy będzie wyzysk człowieka przez człowieka, ale gdzie dostatek pozwoli zapewnić każdemu tyle, ile mu trzeba.



Fot.: „Świat“ — W. Sławny

PRZYJACIELSKI UŚMIECH PREZYDENTA NRD — WILHELMA PIECKA SKIEROWANY JEST DO POLAKÓW-SPORTOWCÓW, KTÓRZY ZŁOZYLI MU WIZYTĘ PODCZAS WYŚCIGU KOLARSKIEGO WARSZAWA-BERLIN-PRAGA. CORAZ BARDZIEJ ZACIEŚNIA SIĘ POKOJOWA WSPÓŁPRACA POMIĘDZY POLSKĄ A NIEMIECKĄ REPUBLIKĄ DEMOKRATYCZNĄ, KTÓRA ŚWIĘCI UROCZYSĆCIE TRZECIĄ ROCZNICĘ SWEGO ISTNIENIA.

BUDOWA WIELKIEGO DOMU

Jan Petersen, wybitny niemiecki pisarz postępowy, autor książek „Nasza ulica” i „Nieznani przyjaciele”, przebywa obecnie z wizytą w Polsce i na prośbę redakcji „Świata” napisał poniższy artykuł.

SIÓDMY października, dzień powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jest dla obywateli naszej Republiki nie tylko największym świętem narodowym, obchodzonym w radosnej świadomości osiągniętych już sukcesów. Jest równocześnie dniem wewnętrznego skupienia, dniem, w którym spoglądamy ku jeszcze piękniejszej socjalistycznej przyszłości, kształtowanej pracowitymi rękami naszych obywateli.

Dzięki utworzeniu naszej Republiki powstało pierwsze w historii Niemiec wolne, demokratyczne i pokój miłujące państwo niemieckie. Ludzie, którzy państwo to stworzyli, którzy kierują jego życiem, walczyli przez długie dziesiątki lat o wyzwolenie niemieckiej klasy robotniczej, o socjalizm. Są to tacy ludzie, jak nasz ukochany Prezydent Wilhelm Pieck, nasz premier Otto Grotewohl, jak Walter Ulbricht, sekretarz generalny naszej Socjalistycznej Partii Jedności i inicjator naszego Planu 2-letniego i 5-letniego. Ich wspaniały przykład, nasze nowe życie oraz nieustająca praca wychowawcza Partii dały Niemcom setki tysięcy nowych ludzi. Bez nich Republika nie byłaby tym, czym dzisiaj już jest, a bez Republiki nie byłoby tych ludzi nowego, socjalistycznego typu. Jako przykład chcę Wam przedstawić krótko sylwetki trzech takich ludzi.

Jednym z nich jest Adolf Hennecke, prosty rębacz. Twarz robotnika, pozornie taka, jak tysiące innych, a jednak jakaś świadoma wola, jakie zdecydowanie z niej bije! Hennecke jest pierwszym górnikiem, który w najcięższych czasach odbudowy zaczął regularnie przekraczać normy, stwarzać i stosować nowe metody pracy. Reakcyjni pisarze niemieccy na żołdzie anglo-amerykańskiego imperializmu obrzucali go oszczerstwami i próbowali ośmieszyć jego wysiłki. Ale panowie ci już dawno przestali się śmiać. Zapoczątkowany przez Hennecke ruch współzawodnictwa pracy ogarnął cały przemysł Republiki i osiągnął wspaniałe rezultaty. Dzisiaj mamy już tysiące przodowników pracy — Hennecke jest ich wielkim wzorem.

A oto Helmuth Hensel. Szczupły, spokojny i skromny mężczyzna po trzydziestce. Wypróbowany bojownik antyfaszystowski, członek Ruchu Oporu przeciwko reżimowi hitlerowskiemu. Poznałem go, kiedy pracował jeszcze igłą i nićmi. Był krawcem. Nasz rząd powierzył mu w pierwszych, ciężkich latach odbudowy kierownictwo najważniejszej huty stalowej, Max-Hütte. Była to stara, zniszczona rabunkową gospodarką koncernu Flicka, tak zwana „nieproduktywna” stalownia. Trzeba było przezwyciężyć tysiące trudności, często dawał się odczuć brak najniezbędniejszych materiałów. Hensel zmobilizował aktyw partyjny zakładu i stał się przyjacielem i nauczycielem załogi. O każdej porze dnia i nocy robotnicy mogli przychodzić do niego ze swoimi kłopotami i propozycjami. Studiował i uczył się zawzięcie, i wydawało się, że brakujące mu, a tak potrzebne wiadomości fachowe chciał wchłoniąć każdą cząstką swego ciała. Początkowo niektórzy inżynierowie stalowni po cichu naśmiewali się z niego — byli krawiec dyrektorem stalowni! — ale Hensel bardzo szybko pokazał, co jest wart. Jego zakład wykonywał plan i to z nadwyżką. Hensel sprawuje obecnie kierownictwo innego zakładu, wymagającego jeszcze większego dynamizmu pionierskiego. Prowadzi naszą stalownię w Henningsdorf.

A oto młody poeta Kuba. Pochodzi z małej wioski saksońskiej. Jego rodzice walczyli niegdyś na wysuniętym posterunku walki klasowej o socjalizm. Mając zaledwie 17 lat Kuba musiał uchodzić za granicę przed gestapowskim terrorem. W Czechosłowacji organizuje antyfaszystowski zespół świetlicowy i tworzy dla niego bojowe teksty i piosenki. Wkrótce w antyfaszystowskich gazetach i czasopismach ukazują się jego pierwsze wiersze. Przepojone są rzadką pięknnością języka i żarem rewolucyjnym. Kuba spotyka L. Fürnberga, znanego czechosłowackiego poetę rewolucyjnego, który staje się jego nauczycielem i bliskim przyjacielem. Następują lata świadomej politycznej i poetyckiej twórczości.

Gdy Kuba powraca wreszcie do wyzwolonych od Hitlera Niemiec — wychodzi pierwszy tom jego poezji pt. „Wiersze o człowieku”. Na firmamencie niemieckiej poezji zabłyśła nowa gwiazda, promieniująca świadomością i bojowością socjalistyczną. Dzisiaj setki ty-

sięcy młodych Niemców śpiewają bojowe i przeniknięte wiarą w przyszłość piosenki, do których słowa napisał Kuba. Chłopiec z małej saksońskiej wioski, poeta Kuba, jest zastępcą członka Komitetu Centralnego naszej Partii, jest posłem do Izby Ludowej i sekretarzem generalnym Związku Literatów...

Przechadzałem się po Warszawie, po mieście, z którego faszyzm niemiecki uczynił jeden poćworny grobowiec ruin. Przepojone nowym życiem oblicze Warszawy promieniuje pięknem i radością. Biję ona z jej ulic i alej, z jej wspaniałych budowli. Wasza dumna, nowa stolica będzie cudem socjalistycznej epoki, cudem urzeczywistnionym przez płomienne umiłowanie ojczyzny, przez socjalistyczny, twórczy entuzjazm. Tak wszędzie nasi nowi socjalistyczni ludzie będą przekształcać ziemię w kwitnący ogród — obronimy pokój i nasze z takim trudem zdobyte osiągnięcia przed faszyzmem, który nosi dzisiaj amerykański mundur.

Staramy się iść za przykładem naszych polskich przyjaciół. We wschodnim Berlinie powstaje, w nieustającej dzień i noc pracy, nasza pierwsza socjalistyczna dzielnica mieszkaniowa: tysiące pięknych, nowoczesnych mieszkań robotniczych, domów kultury, sklepów, szkół i przedszkoli. To wszystko będzie własnością tych, którzy budują: naszych najlepszych robotników i przodowników. Przez tę dzielnicę bohater-ska Armia Radziecka wkroczyła do faszystowskiego Berlina. Waszemu i naszemu narodowi i tylu innym narodom przyniosła w swoim ofiarnym zwycięskim marszu wyzwolenie z jarzma kapitalizmu i faszyzmu. Powstająca w Berlinie pierwsza socjalistyczna dzielnica mieszkaniowa nosi imię człowieka, który jest naj-

lepszym przyjacielem naszych narodów, imię Wielkiego Stalina.

Powstanie i sukcesy Niemieckiej Republiki Demokratycznej są nie do pomyślenia bez niezłomnej przyjaźni i wspólnomyślnego pomocy potężnego Związku Radzieckiego, bez braterskiej przyjaźni z Polską Ludową. Radzieccy i polscy przodownicy uczyli naszych murarzy prędzej i piękniej budować. Nasz największy kombinat hutniczy, powstający nad wspólną granicą pokoju wzdłuż Odry i Nysy, wytapia stal pokoju z radzieckiej rudy i polskiego węgla. Rybacy naszego nowopowstałego kombinatu rybnego w Sassnitz na Rugii przystępują do socjalistycznego współzawodnictwa z towarzyszami w Gdyni. Niemieckie i polskie kutry rybackie pomagają sobie bratersko i bezinteresownie w wypadkach awarii.

Stoimy wspólnie obok siebie na rusztowaniach wielkiego domu wyzwolonej ludzkości: socjalizmu. Obywatele nasi, nasza młodzież zgutowała Waszemu ukochanemu Prezydentowi, Bolesławowi Bierutowi, entuzjastyczne przyjęcie w demokratycznym Berlinie. My, niemieccy antyfaszyści, wytężamy wszystkie siły, by wkrótce całe Niemcy stały się krajem demokratycznym, miłującym pokój.

Gdy przechodziłem obok jednego z Waszych pięknych, nowych domów, usłyszałem jasne i radosne głosy dziecięce. Nie znam języka polskiego, a jednak zrozumiałem, co te dzieci śpiewały, gdyż śpiewały hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej:

„Naprzód, młodzieży świata,
Niech braterski połączy nas marsz...”

W I E R S Z P R Z Y J A Ź N I

„Idziemy razem jedną drogą i nasze losy są związane. Hasło bojowe na dziś niechaj brzmi: nie ma wolnych Niemiec bez wolnej Polski, nie ma wolnej Polski bez wolnych Niemiec!”

Czy słowa te padły z ust któregoś z przywódców Niemieckiej Republiki Demokratycznej, pierwszego w dziejach postępowego, a tym samym bratniego państwa niemieckiego, które 6 października obchodzi III rocznicę swego powstania? Niewątpliwie w słowach tych zawarty jest cały sens naszego przymierza z sąsiadem znad granicy pokoju. Ale to „hasło bojowe na dziś” datuje się sprzed przeszło stu lat. Rzucił je w r. 1848, u progu Wiosny Ludów, wielki rewolucyjny poeta niemiecki Georg Herwegh w swoim „Wezwaniu do demokratów polskich w Paryżu”. Pod ciosami rewolucji lutowej padł właśnie tron króla bankierów, Ludwika Filipa. Herwegh wołał: „Dzień zemsty na naszym wspólnym wrogu jest bliski i niemieccy demokraci nie złożą broń, dopóki imię narodu polskiego nie zabrzmi pełniej i wspanialej, niż kiedykolwiek, w koncercie ludów Europy”. Nie były to puste słowa: rewolucja marcową w Berlinie wróciła wolność polskim więźniom Moabit.

GEORG HERWEGH

POLACY DO EUROPY

Marzec 1846

Znów świętej wojny płomień bucha,
Polaków ze snu budzi dzwon.
Piętnaście lat trwa rozpacz głucha,
Aż znów chwyciliśmy za broń.
Do ciebie, cierpień naszych świadku niemy,
Dziś, kiedy nadszedł walki czas,
Pytanie, Europo, kierujemy:
Zawiedziesz po raz wtóry nas?

Ten bóg czyż nie za twoją sprawę?
Więc czemu w bezczynności trwasz?
Powstań! Aniołem zemsty prawej
Będzie ci biały orzeł nasz.
Dojrzały plony, zadźwięczały kosy,
Spójrz: w oczach naszych ufny blask.
Walczyliśmy dzisiaj i o twoje losy —
Nie zawiedź po raz wtóry nas!
Wciąż dawna niemoc z nóg cię zwała —
Oczyść się wreszcie ze swych wtn!

przywódcom nieudanego powstania wielkopolskiego z marca 1846 r. — Ludwikowi Mierosławskiemu i towarzyszą. Lud poprowadził ich w triumfalnym pochodzie przed pałac królewski, wołając „Niech żyje niepodległość Polski!”

„Niemcy wyzwalają się w tym samym stopniu, w jakim oswobadzają narody sąsiednie” — ta prawda, sformułowana przez Karola Marksa w liście do Engelsa z 2 lipca 1848 r., święciła swój triumf w świadomości ludu niemieckiego, ożywionego uczuciem braterstwa narodów. Ale, jak pisał Marks w tym samym liście, „nie wystarcza ani ta świadomość, ani to uczucie. Jeśli niemiecka krew i niemieckie pieniądze nie mają być nadal — wbrew własnym interesom Niemiec — trwonione dla ujarzmiania innych narodów — to musimy wywalczyć rzeczywistą władzę ludową; stara budowla musi być zburzona aż do fundamentów”.

Dziś, kiedy dzięki zwycięstwu kraju socjalizmu nad państwem Hitlera te słowa Marksa stały się rzeczywistością, oddajmy raz jeszcze głos poecie, który w tak ciężkim dla Polski roku 1846, roku stłumionego w zarodku zrywu rewolucyjnego w Poznańskiem i w Galicji, ze swego wygnania w Szwajcarii, wołał o pomoc Europy:

Póki się jeszcze chwieje szala,
Przechył ją dla nas sercem swym.
Dziś zwlekać byłoby po trzykroć zbrodnią,
Bo trzykroć gęsty wrogów las.
Łamiemy przemoc — i ty jęczysz pod nią —
Nie zawiedź po raz wtóry nas!

Pożarem buntu niech zaplonie
W swym gniewie zjednoczony świat,
Aby na wrogów naszych skronie
Grom sprawiedliwej kary spadł!
O, Niemcy! Na braterskiej znak umowy
Zapalmy znicz wolności wraz!
I polski orzeł wieniec ma dębowy,
O, nie zawiedźcie znowu nas!
Prusy, wywalczyć swoje prawa!
Do broni! Czas już rozbić loch!
Wspólna wolności naszej sprawa —
Powstańcie, ludy Węgier, Włoch!
Gallijski kogut czy nie widzi zorzy,
Nie czuje, że to świtu czas?
Nadchodzi wraza horda, już się sroży —
O, nie zawiedźcie znowu nas!

Przełożył TADEUSZ POLANOWSKI



Antoni Gromek, który pierwszy w Żyrardowie skończył Plan 6-letni, winauje wysuniętej przez Zakładowy Komitet Frontu Narodowego kandydatce, Jodłowskiej.

NASZ ŻYRARDÓW

Napisała: KAMILA CHYLIŃSKA

Zdjęcia: WŁADYSŁAW SŁAWNY

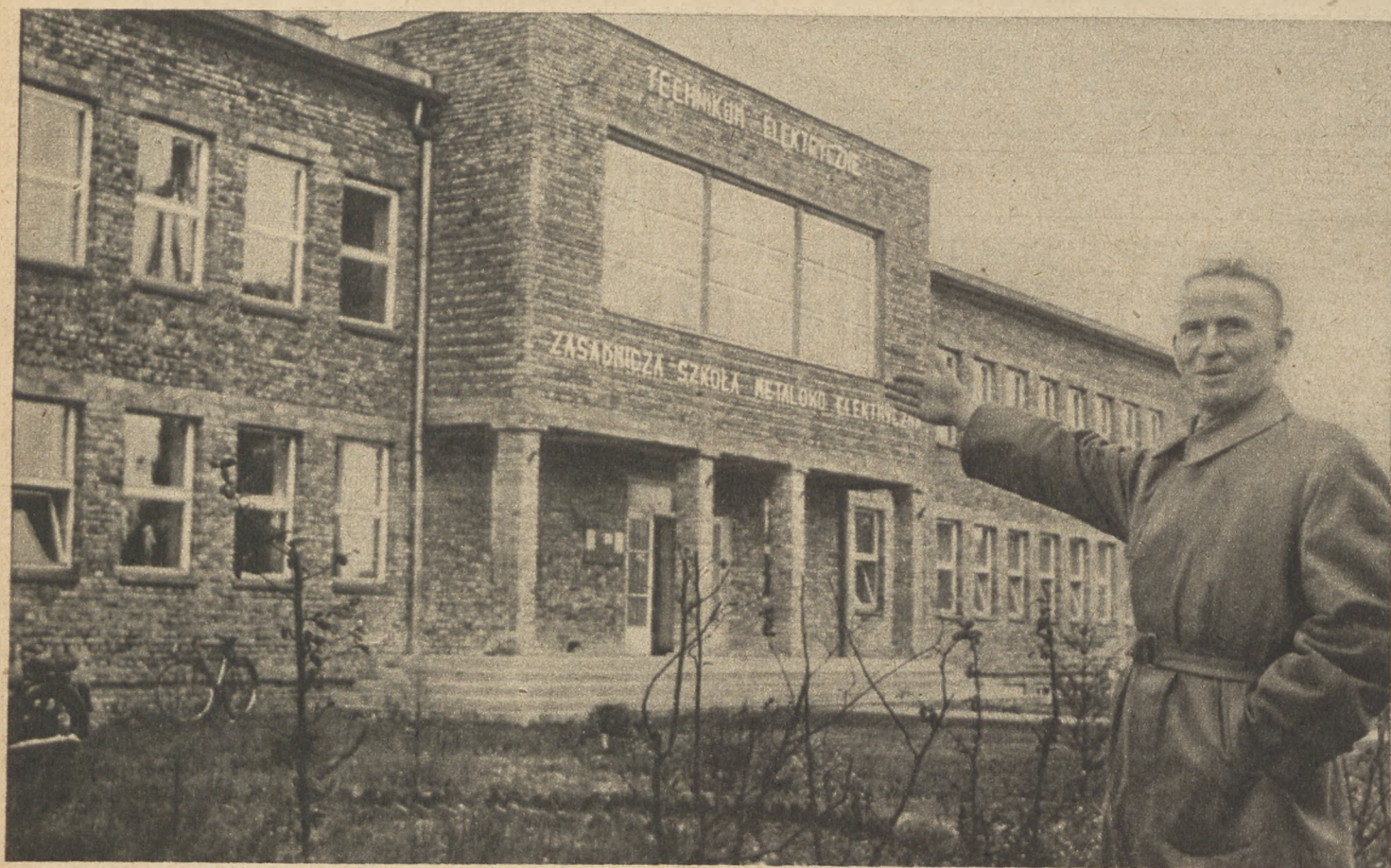
KLASKALI mu za to, że syn Marii Stelmachowej przygotowuje się do matury. Że córka Stanisławy Jodłowskiej może iść z młodym chłopcem do kina i na skutek owego „przevinienia” żadna „pani” nie wyrzuci jej z żadnej służby. Klaskali mu za to, że staremu bojownikowi o robotnicze szczęście, Rowińskiemu, popularnie zwanemu „dziadkiem”, odnowiono mieszkanie i założono głośnik. A także za to, że dla specjalisty od barwników, inżyniera Demla, praca naukowa przestała być niedościgłym marzeniem.

I choć trudno wszystko wyrazić słowami, zwłaszcza gdy się jest na trybunie, oko w oko z półtoratysiącym zgromadzeniem — to jednak ludzie Żyrardowa chcieliby jakoś najprościej podziękować Bolesławowi Bierutowi za wszystko, co się w ich życiu zmieniło.

Przed chwilą właśnie dyrektor Zakładów Lniarskich, Zawadzki, mówił, że gdy robotnik żyrardowski pochyla się wieczorem nad łóżkiem swego dziecka, nie drży już o jego przyszłość. Dyrektor Zawadzki przemawiał dziesięć minut. Nie miał czasu powiedzieć, że kiedy Jannina Stańczykowa zaczęła pracować na czterech krosnach — nie bała się, iż straci przez to pracę trzy inne włókiarki. Że kiedy młody inżynier Obuchowski, dzięki swej mądrej inicjatywie zaoszczędził fabryce wiele węgla — nie bał się, iż zysk w ten sposób osiągnięty wpadnie w kieszenie Waśkiewiczów czy Boussaków. Że kiedy dwudziestoletni Roman Gwiazda przyszedł do przedziału lnu — nie bał się, iż zmarnuje młodość na terminowaniu za darmo. Że kiedy Jadwiga Flaszczyńska została przewodniczącą Rady Oddziałowej w tkalni — nie bała się, iż za działalność



Zebrani w Domu Włókniarza mieszkańcy Żyrardowa oklaskują wysuniętych kandydatów.



Redaktor „Życia Żyrardowa” i fotokorespondent „Świata”, Rastawicki, pokazuje nam nowy budynek mieszczący dwie szkoły: Zasadniczą Szkołę Metalowo-Elektryczną i Technikum Elektryczne. Wnętrze gmachu wyposażone jest we wszelki komfort.

dla dobra robotników dyrekcja zakładu wyrzuci ją na bruk.

Ludzie Żyrardowa chcieli jakoś najprościej podziękować pierwszemu z wysuniętych przez siebie kandydatów za to, że się już w życiu nie muszą bać.

Przed chwilą stał na trybunie Antoni Gromek, który w środę, 17 września, o godzinie 13, pierwszy w Żyrardowie skończył Plan Sześciolatek — i mówił:

— Zaczęliśmy patrzeć między sobą, kto lepszy, kto gorszy, i każdy zaczął się starać, żeby drugiego dogonić, i tym sposobem pomagaliśmy Ludowej Polsce. Nie opuściliśmy ani godziny, ani minuty, i jedni podciągali drugich. Pójdziemy do urny nie tylko z kartką, ale z tym, cośmy zrobili. Jesteśmy spokojni, bo dziś nikt nie traci pracy, jak dawniej, kiedy się jednemu czy drugiemu dyrektorowi nie spodobał. Skończyłem Sześciolatek Plan w niecałe trzy lata i nadal będę pracował. Chcę wykonać drugi raz to samo i wiem na pewno, że wykonam“.

Ludzie Żyrardowa chcieli najprościej podziękować Prezydentowi Ludowej Polski za wszystko, co o swej przyszłości wiedzą na pewno.

WALKA GORĘTSZA OD SŁÓW

W owo jesienne popołudnie tak samo chyba, jak o tysiące sal, hal fabrycznych i świetlic w całej Polsce, zawadził o salę żyrardowskiego Domu Włókniarza nurt historii. Nie ten tylko, co przeminął, ale i ten, co niepowtarzalnym czynił dzień dzisiejszy. I prawdopodobnie tak samo, jak na tysięcznych zebraniach w całej Polsce, na zebraniu

żyrdowskim nie zdołano uchwycić go w całości. Wylaniał się ze wspomnień, z porównań, z konfrontacji, żył w oklaskach, wybuchal w okrzykach — ale naprawdę nie cały wypłynął na powierzchnię. Nie łatwo widocznie wyzwał się z kryjówki w duszach ludzi, o wiele mocniej czujących, niż ujawniających swe uczucia, o wiele goręcej walczących — niż mówiących.

Od dawna bowiem, od bardzo dawna robotnicy żyrdowscy pomagali walczyć pierwszemu wysuniętemu przez siebie kandydatowi na posła do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Protestując przeciw draństwu ministra-łapownika Kucharskiego, który w roku 1923 sprzedał, a właściwie podarował Zakłady Żyrardowskie królowi bawełny, właścicielowi firmy „Comptoir Industriel du Coton” — Boussakowi. Demaskując bandytyzm Boussaka, który bez skrupów niszczył fabrykę, w prze-



latów. Pierwszemu z nich, Bolesławowi Bierutowi, dziękują za to co się zmieniło.

dzalni lnu ustawiał maszyny tak, że załamanie się posadzki mogło w każdej chwili spowodować katastrofę, najlepsze z maszyn wysyłał do swych fabryk we Francji, świadomie obniżał wartość tkanin o 20 procent podnosząc ich cenę o 100 procent, po to, by żyrdowskie produkty lniane nie konkurowały z francuskimi produktami bawełnianymi, a tysiące polskich robotników skazywał na pastwę sadysty i łajdaka, dyrektora Koehlera. Robotnicy żyrdowscy po-



Byłe towarzyszkę pracy ściskają serdecznie kandydatkę, Marię Stelmachową, wiceprzewodniczącą Miejskiej Rady Narodowej. „Jestem niezmiernie zadowolona” — powiada kandydatka, której wartość i pracę oceniła dopiero Polska Ludowa.

magali walczyć Bolesławowi Bierutowi, gdy zorganizowaną akcją przeciwstawiali się zbrodniom Waśkiewiczów, Koehlerów i Ulrichów, gdy swych towarzyszy pracy przekonywali o konieczności boju, gdy strajkowali, gdy w twarz rzucali wyzwanie swym oprawcom. Na dziejowej mapie frontu walk robotniczych przeciw wyzyskowi, nędzy i bezrobociu nie zblednie nigdy imię Żyrardowa.

Na przełomie trzeciego i czwartego

dziesięciolecia naszego wieku machinacje zagranicznych kapitalistów i ich pomocników polskich stały się w Żyrardowie tak bezwstydne i tak łatwe do przejrzenia, że nie można ich było zataić przed opinią publiczną. „Kilka lat temu — pisał około r. 1930 Paweł Hulka-Laskowski — Żyrardów mógł być obchodzić stulecie swego istnienia, ale chociaż tak chętnie wyzyskujemy najblahsze rocznice dla urządzania jubileuszów, o stuleciu Żyrardowa nikt nie

wspominał. Zapewne dlatego, że przypało ono na smutne czasy powojenne, bezrobotne i głodne. Trudno oczywiście urządzać jubileusze w mieście, które liczy tysiące bezrobotnych, nie mających najmniejszego wyobrażenia, czym i kiedy zakończy się ich przymusowe świętowanie”.

Jakkolwiek więc przemilczano żyrd-

Dokończenie na str. 20



Inżynier Grendysa. Członek Zakładowego Komitetu Frontu Narodowego.



Janina Stańczykowa. Pracowała na 4 krosnach, teraz przechodzi na 6.



Najmłodszy majster — R. Gwiazda. Sądzi, że „żona przeszkadza w pracy”.



Inżynier Demel, specjalista od barwników, odznaczony nagrodą za swe prace.



ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKICH SPOTYKA SIĘ NA KAŻDYM KROKU.



Sztuczne perły przykuwają oczy kobiet, ale zawartość portmonetek nakazuje powściągliwość w zakupach.



Przy piwie wspomina się dawne czasy, gdy żołnierze w obcych mundurach nie szwendali się po Piccadilly.



Starzyzna znajduje zawsze chętnych nabywców.

Kolejki po mięso, po kartofle, po konserwy...



OBAJ: turysta i kupiec, który przybył do Londynu za interesami, już pierwszego dnia udadzą się na Piccadilly. Turystę zachęci informacja z Baedekera, że jest to słynna ulica, „przy której znajdują się liczne miejsca rozrywek”, kupca znowu reklamy sklepów, oferujących najnowsze modele ubrań, kłopoty, obuwie, futra, kapelusze.

Do Piccadilly nie jest daleko ani z centralnych hoteli, ani z banków City. Na przestrzeni półtora kilometra ciągnie się ona w samym śródmieściu od Haymarket do Hyde Park Corner i prawie zawsze zalana jest tłumem przechodniów, przez których, o ile nagli nas pośpiech, z trudem tylko można się przepchać. Liczne wystawy gromadzą ciekawych i tu jest najtłoczniej. Pełno zwłaszcza kobiet, przyglądających się nowościom z dziedziny mody. Nie znaczy to, że za chwilę wejdą do eleganckiego magazynu i zażądata tego, co im najbardziej przypadło do gustu. Portmonetki Angielek pozostają daleko w tyle za pragnieniami...

Ściany domów o bardzo różnej architekturze, czasem naprawdę ciekawej, pokryte są reklamami, od dołu aż po dachy. Dobrze, że nie zasłonięto nimi okien. Wieczorem panuje wszechwładnie neon: to jarzy się stale w różnych nazwach zachwalanych kin, teatrzyków i barów, to znów rozbłyskuje i gaśnie jak błyskawica, nasuwając natrętnie tytuły filmów, program cyrku czy firmę wyrabiającą papierosy.

Wieczorem jest tu najtłoczniej, nawet mgła, zimno i deszcz nie zrażają ludzi żadnych wrażeń. Z coraz smutniejszej rzeczywistości uciekają w krainę filmowej uludy. Rzadko trafia tu prawdziwa sztuka, a z nią prawda o życiu. Ale nie da się jej ukryć. Prawda przychodzi w postaci kwiatów sprzedającej gentlenom wiązanki kwiatów, dziecka proszącego

o wsparcie, kobiet szukających nie tyle przygody, ile zarobku. Gentlemani nie zawsze zwrócą uwagę na to inne, drugie oblicze Piccadilly, „ulicy rozrywki”. Szybko przechodzą obok nadzianego w libe-

rię portiera, aby spotkać się ze znajomymi w jednym z licznych tu, a zarazem bardzo eleganckich klubów. Gdyby jednak zechcieli zadać sobie trud, ujrzeliby to samo, co uchwycił znakomity foto-

graf angielski, Leonti Plaskoy... Anglię toczy nędza, widoczna już i na Piccadilly, nędza, której głównym źródłem dziś są zbrojenia, narzucone Wielkiej Brytanii przez imperializm amerykański.

MIŁOSIERDZIE PRZECHODNIÓW — TO NIEPEWNE, ALE JEDYNE ZAOPAKOWANIE





Na placach po zburzonych bombami, a nieodbudowanych domach, bawią się dzieci.



Kwiaty w koszach ulicznych są znacznie tańsze, niż w kwiaciarni.

Piccadilly

FOTOREPORTAŻ WŁASNY „ŚWIATA”

ZDJĘCIA: LEONTI PLANSKOY

WSZELKIE PRAWA REPRODUKCJI ZASTRZEŻONE

TRZENIE SPIEWAKA-INWALIDY BEZ NÓG.



PORNOGRAFIA, ZBRODNI, SENSACJA KRZYCZY Z JASKRAWYCH OKŁADEK PISM I COMICSÓW.





Boks jest ulubioną rozrywką uczniów górniczej szkoły zawodowej w Pszowie, która posiada znakomity sprzęt sportowy

MŁODA SZYCHTA

MIROSLAW AZEMBSKI

— Ej, chłopak, podaj mi ten perlik!
Chłopak ani się ruszył — nie wie o co chodzi. Dopiero ktoś wziął go za ramię:

— Przynieś młotek, pan przodowy chce młotek...

Takich nieporozumień jest niemało, bo dzisiaj każda kopalnia mówi dwoma językami. Jeden panował tutaj niepodzielnie jeszcze do niedawna — zawsze mówiło się: „gruba”, „fedrować”, „perlik”... Starzy górnicy od małego używali tej dziwnej polsko-niemiecko-śląskiej mieszanki, aż niedawno zaczęli napływać młodzi ludzie, którzy mówią „kopalnia”, „wybierać węgiel”, „młotek”... Poprawny język wynieśli z zawodowych szkół górniczych razem z nowoczesną wiedzą o pracy w kopalni.

Starsi nauczyli się już tej nowej mowy, a jeśli czasem upierają się przy swoich dawnych nawykach, to raczej przez przekorę, przez swoisty stosunek do chłopaków, którzy jeszcze przed kilku miesiącami pasali krowy, młócili żyto, orali i bronowali.

21-letni Antoni Sobecki ma powody do zadowolenia: ukończenie zawodowej szkoły górniczej pozwoliło mu objąć odpowiedzialną placówkę w kopalni „Bobrek”.

Górnika jest dumny ze swego zawodu, słusznie uważa pracę w kopalni za szczególnie ważną. „Żeby nie górnik — pisał 60-letni Urban Malicki ze Świętochłowic — to by żadna fabryka ani żadna kolej nie mogła istnieć, dlatego mam zaszczyt, że jestem górnikiem i należę do pierwszej klasy robotniczej”. A więc przyjaźnie, ale niekiedy z pewnym odcieniem lekceważenia patrzy stary fachowiec na absolwentów zawodowych szkół górniczych — przeważnie synów chłopskich z Białostockiego, z Rzeszowskiego, spod Poznania, którzy po raz pierwszy zjeżdżają pod ziemię. Nie docenia ich, aż do czasu, kiedy na tablicach norm... ale o tym później...

TRUDNY POCZĄTEK

Właśnie ze wsi przybył na Śląsk Eugeniusz Wcisło. Był przedtem w SP, słyszał o dobrych zarobkach, o przywilejach karty górniczej — zapisał się do szkoły zawodowej, kształcącej przyszłych rebaczy i innych wykwalifikowanych robotników kopalnianych. Trzy

dni w tygodniu trwały zajęcia teoretyczne, ale czwartego — jeżeli ktoś ukończył już 17 lat — trzeba było zjechać na dół...

Możliwe, że Eugeniuszowi łatwiej to przyszło, niż innym chłopcom: ojciec jego siedział na kilku hektarach gruntu pod Trzebiną, a była tam w okolicy stara, martwa już od dawna kopalnia — już wtedy dawała ona trochę do myślenia. Niemniej...

— Czułem się dziko, kiedy pierwszy raz zjeżdżał windą — człowiek, bądź co bądź, wisi przez te kilkanaście sekund na sznurku... Potem na dole, jak sobie pomyślałem, że jestem czterysta metrów pod ziemią, jak usłyszałem dudnienie strzałów, jak zobaczyłem pędzące po torach wózki... chciałem uciekać na górę. Ale było wstyd...

Zwyciężyła ambicja i zwyciężyła rzeczywistość... Mówiono często na wsi, że górnictwo to niewolniczy zawód, niebezpieczny, niezdrowy. Taka opinia pokutuje jeszcze gdzieś od czasów przedwojennych, kiedy miała swoje pełne usprawiedliwienie. Wszakże kopalnie były wtedy istotnie kretowiskami, gdzie ludzie, niczym szczury, z trwogą oczekiwali, co przyniesie im następna godzina: śmierć, kalectwo czy dalszy ciąg nędznego życia. Kapitalizm nisko sobie cenił człowieka, a bardzo był oszczędny w wydatkach na bezpieczeństwo i higienę pracy.

Wcisło zastał pod ziemią pracę zorganizowaną jak w zegarku — nie kretowisko, ale całe miasto podziemne, chodniki, gdzie nieraz tak było rojno, jak na ulicach Katowic, ujrzał napawające otuchą, silne, wielkie maszyny, ludzi doświadczonego i śmiałych.

Tam na dole usłyszał to samo, co tyle razy wykładowca powtarzał na lekcjach: „Przestrzegaj przepisów bezpieczeństwa, pracuj z głową, czysto wybieraj węgiel, słuchaj starszych, co kilkadziesiąt lat przepracowali w kopalni — a wtedy nie grozi ci nic... Wszystko zależy od ciebie samego...”

Minał pierwszy dzień silnych wrażeń, minęły następne. Eugeniusz Wcisło przechodził z łatwiejszych odcinków pracy na coraz trudniejsze — taka jest metoda szkolenia. I został górnikiem.

ZALAMANIE

Niekiedy pierwsze spotkanie z kopalnią daje niepomysłny wynik. Zdarzenie takie, raczej wyjątkowe, warto przytoczyć dla wyjaśnienia jego smutnych przyczyn i smutnych skutków.

Pewnego dnia do mizernej chałupiny małego chłopca w Nowo-sądeckim zajrzał niespodziewanie wysoki blondyn w koszuli zetempowca. Pozdrowił gospodarzy i zapytał:

— Gdzie jest wasz syn?

Starzy milczeli, aż na koniec gospodarz powiedział mocno:

— Powiemy wam prawdę: jak was zobaczył z daleka, to uciekł przez okno i gdzieś się schował.

— Dlaczego uciekł?

— Ano boi się tych nalotów!



W warsztatach Technikum Górniczego w sztygara maszynowego. Pod jego kierun

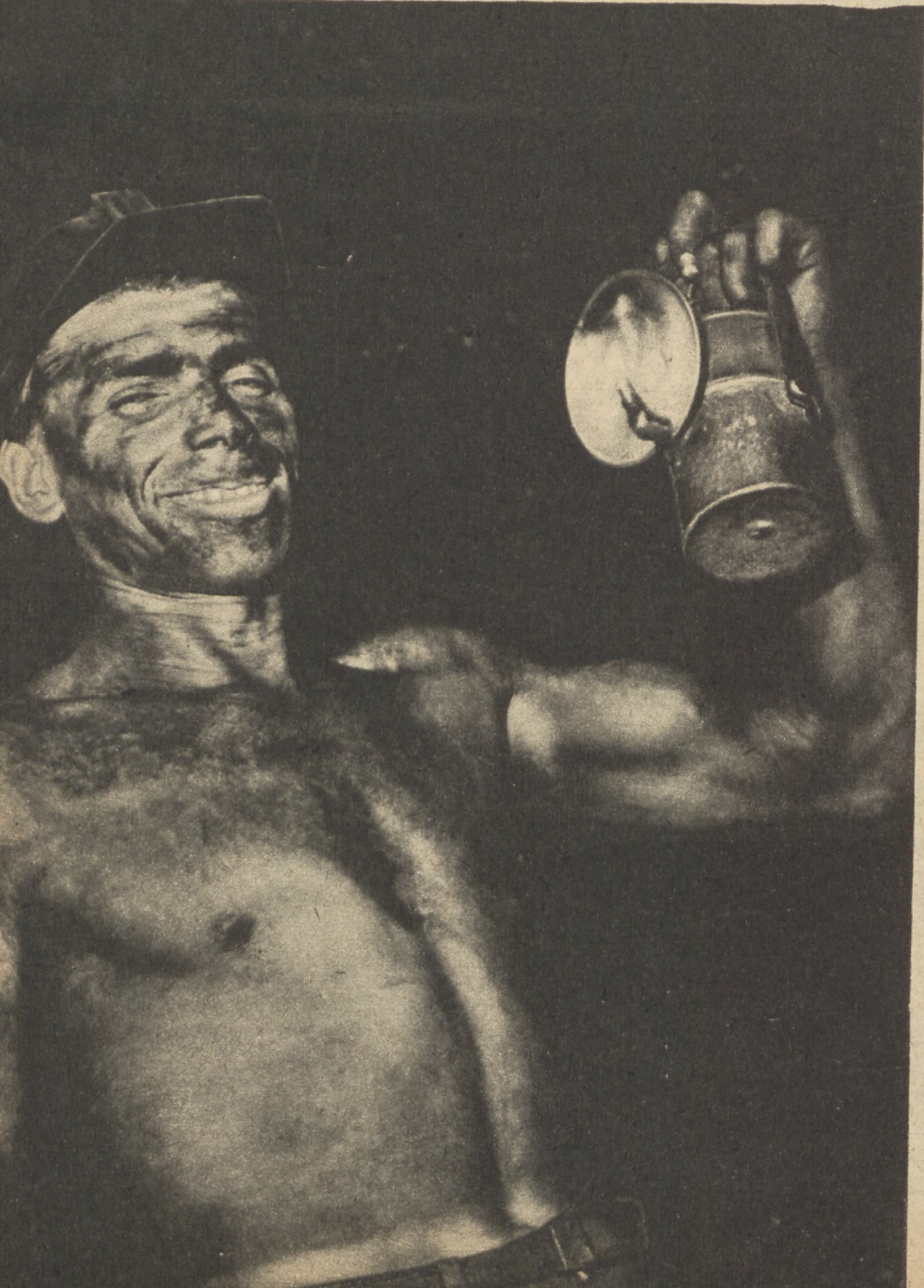
— Czego???

Wszyscy zaczęli mówić naraz i pół godziny minęło zanim się dogadali.

Sprawa wyglądała tak: 18-letni syn gospodarzy zapisał się niedawno do górniczej szkoły zawodowej. Rodzice nawet go zachęcali: idź, będziesz człowiekiem, co tu będziesz robił na tych trzech morgach kamieni... Poszedł. W szkole zaopiekował się nim dzisiejszy gość, Stanisław Warchoń, przewodniczący organizacji szkolnej ZMP. Zwrócił uwagę na chłopca, bo ten już od początku zapowiadał się jako blagier i bu-melant. — Co jest z tobą — tłumaczył mu Warchoń — Kiedyś się zapisywałeś do szkoły, nikt ci nie obiecywał, że praca górnika jest łatwa i że za darmo będziesz brał pieniądze...

Winowajca mruczał coś pod nosem. Drugiego dnia przyszedł do ZMP i oświadczył, że ma za słabe zdrowie do pracy w kopalni. — Jak to, przecież byłeś na komisji! My słabych nie przyjmujemy! Idź jeszcze raz do lekarza. — W odpowiedzi na to młody bu-melant zwał na wieś. Tam opowiadał szeroko, że nie mógł wytrzymać, bo... kopalnie bombardują jacyś lotnicy. Ze wstydu, że uciekł ze szkoły, igał jak najęty. Mało kto uwierzył, ale na wszelki wypadek postanowiono w tej wsi nie zapisywać synów do szkół górniczych.

Długo musiał tłumaczyć Stanisław Warchoń. Starym wyjaśnił powód wy-bryków syna, ale młodego już nie spot-





Rybniku jednym z wykładowców jest Emil Motyka, górnik awansowany po wojnie na kierownika przyszłych górników zapoznają się z narzędziami i elementami maszyn kopalnianych.

kał — schował się gdzieś w lesie. Niemniej nie traci nadziei, że chłopaka w końcu przekona i odzyska dla kopalni...

ZWYCIĘSTWO

Kopalnia „Bobrek”, jedna z największych w Europie, zwana jest dzisiaj na Śląsku kopalnią młodzieży. Pracują tam liczni absolwenci górniczych szkół zawodowych, a wśród nich Antoni Sobiecki, dzisiaj rębacz - przodowy, górnik młody (21 lat), ale odpowiedzialny. Pochodzi ze wsi, z Poznańskiego. Mówi, że pierwsze spotkanie z kopalnią nie zrobiło na nim żadnego wrażenia: od początku czuł się jak u siebie w domu. Ejże, czy naprawdę?

Jak tam było, nie wiadomo, ale fakt, że Sobiecki dzielnie przeżył naukę i wykorzystał wszystkie szanse, które mu dało ludowe państwo. Podobnie jak inni miał bezpłatną szkołę, wyżywienie, ubranie i jeszcze parę złotych stypendium do kieszeni. Dzisiaj zarabia przeciętnie 1200 zł, co nie stanowi wcale górnej granicy zarobków nawet u początkującego.

Rębaczem przodowym na drugiej zmianie jest Alfons Kala, 40-letni górnik z dziada pradziada. Pod jego opieką wzrósł Sobiecki, który przekraczał stale normę, a ostatnio osiągnął ponad 200% i zajął stanowisko równorzędne z Kalą. Ci dwaj rozumieją się już dzisiaj dobrze; nie przeszkadza im podwójny język kopalni.

Być może, Sobiecki pójdzie śladami

Eugeniusza Weislo, który od ładowacza, poprzez młodszego rębacza, aż do strzałowego przeszedł kilka stopni w hierarchii górniczej w niedługim czasie, wyróżnił się w pracy i zakwalifikowano go do Technikum Górniczego w Zabrze. Za dwa lata opuści je jako nadgórnik i po okresie praktyki zostanie sztygarem, mając lat dwadzieścia kilka.

Pytałem, jak długo musiałby pracować przed wojną niewykwalifikowany robotnik, aby osiągnąć stanowisko sztygara.

— To było w ogóle niemożliwe — odpowiadali górnicy — chyba wyjątkowo, jakiś lizus i szpicel...

Młodzież w kopalni „Bobrek” nie zmieni już dziś za nic swego zawodu. Dlaczego? — pytaliśmy nieraz. To jest tajemnica już nie pierwszego zjazdu do kopalni, ale dni następnych.

Węgiel jest twardy, mocno i głęboko siedzi pod ziemią. Ale jeszcze twardsi są ludzie, którzy go wydobywają na odległych od szybów przodkach. Przy pomocy maszyn i mechanicznych narzędzi walczą z nieustępliwą, upartą skałą. Strzelają, ładują węgiel na transportery, zabezpieczają puste przestrzenie po wyrobiskach, posuwają się coraz dalej, coraz śmielej naprzód, biją się o plan. Trudna jest praca górnika, ale dlatego właśnie daje młodemu człowiekowi poczucie siły i pełni twórczego życia.

DWIE PODRÓŻE CHARLIE CHAPLINA

JERZY TOEPLITZ

PROKURATOR Generalny Stanów Zjednoczonych oświadczył niedawno, że sprawa ewentualnego wpuszczenia na ląd amerykański pana Charles S. Chaplina będzie przedmiotem specjalnych rozważań. Pan Chaplin mieszka wprawdzie w Stanach od lat prawie czterdziestu i w podróż do Europy wybrał się, posiadając na swym paszporcie wizę powrotną, ale... nie jest to wszystko takie proste i najwyższe autorytety prawnicze Waszyngtonu muszą zagadnienie gruntownie i zbadać i przemysleć. A może zagraża bezpieczeństwu państwa obecność na jego terytorium „podżegacza pokoju”, człowieka, który ośmielił się powiedzieć na konferencji prasowej w Londynie, że wprawdzie nie interesuje się polityką, ale „wierzy w wolność”? Może jednak lepiej będzie, jeśli Hollywood, tak pięknie pracujący na chwałę agresywnego imperializmu, obejdzie się bez podejrzanego i nader uciążliwego cudzoziemca?

Charlie Chaplin jest siwym, wprawdzie dobrze się trzymającym, ale jednak już starszym panem. Wkrótce skończy lat sześćdziesiąt cztery. W Ameryce przeżył i przepracował kilkadziesiąt lat. Tu powstała jego „Gorączka złota”, „Cyrk”, „Dzisiejsze czasy” i „Dyktator”. Teraz, spacerując po Londynie, może zabłądzi do robotniczego przedmieścia Brixton, gdzie się urodził, albo do Lambeth, gdzie spędził trudne i ciężkie lata dzieciństwa. Stanie mu wtedy przed oczyma zespół „Lancashire Lads”, w którym tańczył jako ośmioletni chłopiec, przypomni sobie małą rolę w teatrze „Duke of York” w scenicznej adaptacji „Sherlocka Holmesa” Conan Doyle’a i popisowy występ w pantomimicznej scenie „Noc w music-hallu”. Może wędrując po portowym nadbrzeżu przypomni sobie Charlie Chaplin pamiętną dla jego losów podróż do Stanów Zjednoczonych w listopadzie 1912 roku.

Miał wtedy wszystkiego dwadzieścia trzy lata. Był szczupłym, przystojnym młodzieńcem o kruczo-czarnej, bujnej i falującej czuprynie. Zył trochę na ubożu. Niewiele mówił i nie udzielał się towarzystwu kolegów. Od whisky czy ginu wolał książkę. Interesował się medycyną, pilnie studiował Szekspira, a nawet trochę „socjalizował”. Nosząc duży, czarny krawat, niedbale zawiązany, starał się upodobnić do artysty-cygana z Montparnasse.

Chaplin wylądował bez trudności w Nowym Jorku. Nikt nie przypuszczał wówczas, ile „kłopotów” sprawi Ameryce ten mały, niepozornie wyglądający aktor angielskiego music-hallu. No i nikt również nie wiedział, że właśnie ów Charlie Chaplin walczy przyczyni się do zbudowania wielkiego przemysłu filmowego, i że to dzięki niemu filmy z Hollywood zdobędą w latach po pierwszej wojnie — rynki całego świata.

W roku 1918 Chaplin był już nie tylko najpopularniejszym komikiem Ameryki, ale sława jego docierała do najdalszych



krańców świata. „Moja recepta komizmu nie jest skomplikowana — oświadczył jednemu z dziennikarzy. — Wiem, że publiczność lubi bardzo, jeśli się jej pokazuje bogaczy w kłopotach. I wiem z drugiej strony, że mały, prześladowany człowieczek znajdzie zawsze żywą sympatię u widza. Znajomość człowieka jest podstawą wszystkich moich sukcesów”. Od dnia, w którym ukazał się wywiad, minęło wiele lat. Ośławiona „Komisja do badań działalności antyamerykańskiej” podczas przesłuchania świadków i podejrzanym w Hollywood stwierdziła ex officio ośmiokrotnie, że przedstawianie w filmie bogatego człowieka w niekorzystnym świetle jest wyraźnym przejawem „komunistycznej ideologii”. Czyż można się więc dziwić, że wiecznego trampa i włóczęgę, prześladowanego przez możnych kapitalistycznego świata — fabrykantów i policjantów, uznano za wywrotowca i uciążliwego cudzoziemca? Dlatego właśnie waha się pan Prokurator Generalny, jakie dać instrukcje celnikom i agentom FBI na Ellis Island. — „Wpuścić czy nie wpuścić Chaplina” — oto jest pytanie. A na pewno w cichości ducha ubolewa pan Prokurator, że czterdzieści lat temu nie zatrzymano na granicy milczącego młodzieńca, który tyle sprawił Amerykanom kłopotów i przykrości.

Charlie Chaplin i Buster Keaton — para znakomitych komików wystąpiła w najnowszym filmie reżyserii Chaplina — „Limelight”. Chaplin gra rolę aktora z music-hallu.





Dzięki zwycięstwu armii chińskiej nad rodzimą reakcją, wspieraną przez amerykańskich imperialistów, 1.X.1949 proklamowano Chińską Republikę Ludową.



Naród chiński, pod wodzą Partii Komunistycznej podjął dzieło odbudowy zniszczonego i lat przeprowadzono gigantyczne roboty ziemne, wśród których jedną z najpoważniejszych

HENRYK
KOROTYŃSKI

KROKAMI OLBRZYM

MAO TSE-TUNG — wódz 500-milionowego narodu, poeta, filozof, żołnierz, tak mówił przed rokiem:

„Wrogowie nasi okazali się krótkowzroczni. Nie dostrzegli faktów: z chwilą utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej epoka ujarzmienia narodu chińskiego przez obcych imperialistów przeszła raz na zawsze do historii. Wrogowie nasi nie rozumieją tego i wciąż jeszcze myślą o pokonaniu Chińskiej Republiki Ludowej i o panowaniu nad światem.

Mogę Wam, Towarzysze, oświadczyć z całą stanowczością, że plany ich są czystą fantazją i nie mają żadnych widoków powodzenia”.

Te zwarte i jasne słowa wielkiego wodza narodu chińskiego z lekkim odzieniem ironii mówią o imperializmie, który grzeszy niepojętą niemal ślepotą: nie widzi ogromu i nie widzi następstw wydarzenia, które jest jednym z największych w ostatnim półwieczu.

Tym wydarzeniem, które zostało zapisane w historii pod datą 1 października 1949 roku, jest zwycięstwo rewolucji chińskiej i narodziny Chin Ludowych. Najliczniejszy na świecie naród, półmiliardowy olbrzym, trawiony od

wieków wewnętrzną słabością i zżerany od dziesiątków lat przez obce pasyżysty — podniósł się, wyprostował, strząsnął z siebie pijawki i stanął tak mocno, że gromkie echa rozległy się nie tylko na bezkresnych przestrzeniach Azji, lecz także w całym świecie.

Po Rewolucji Październikowej i po zwycięstwie ZSRR nad hitleryzmem jest to trzecie z rzędu na historyczną miarę wydarzenie XX wieku i trzeci potężny cios w imperialistyczne panowanie, trzeci ogromny wyłom w starym świecie ucisku i wyzysku. Chiny, które były największym i najdogodniejszym terenem kolonialnej eksploatacji, niewyczerpanym, zdawało się, źródłem miliardowych dochodów i najtańszej siły roboczej, gigantycznym magazynem mięsa armatniego dla imperializmu — wszystkim tym być przestały ostatecznie i nieodwołalnie.

Nie pomogło 6 miliardów dolarów, rzuconych na ratowanie Czang Kai-szeka, czyli na ratowanie pozycji amerykańskich w Chinach. Nie pomogły olbrzymie transporty broni z USA, misje wojskowe, niezliczone czołgi i samoloty z białą gwiazdą. Dokonał się fakt dla imperialistów niezrozumiały: z górą 4-milionowa i nowoczesnie uzbrojona

armia Czang Kai-szeka, wspierana wszelką pomocą amerykańską, rozbita została w puch przez Armię Ludową, liczącą u początku wojny domowej tylko milion żołnierzy, bez porównania gorzej uzbrojonych i wyposażonych.

Nie było w tym, oczywiście, nic nadprzyrodzonego i niezrozumiałego. Źródła zwycięstwa w zwykłych słowach wskazał Mao Tse-tung jeszcze w pełnym toku walki, w grudniu 1947 roku:

„Nasza strategia i nasza taktyka opierają się na wojnie ludowej i dlatego żadna antyludowa armia nie może posługiwać się naszą strategią ani taktyką... Będziemy mogli przezwyciężyć każdą przeszkodę i położyć każdej trudności i z naszą siłą nikt nie będzie mógł rywalizować, jeżeli zdołamy opanować naukę marksizmu-leninizmu, jeżeli będziemy mieli zaufanie do mas i jeżeli będziemy szli razem z masami i prowadzili je naprzód”.

Te warunki, ujęte przez Mao Tse-tunga w trzy „jeżeli”, zostały spełnione i Armia Ludowa, kierowana przez Komunistyczną Partię Chin, zwyciężyła. Na każdym kroku jej sprzymierzeńcem był wydziedziczony ze wszystkiego chiński robotnik i chłop. Jej sojusznikiem okazały się masy żołnierskie w armiach Czang Kai-szeka, które całymi dywizjami i korpusami przechodziły na stronę tych, co walczyli o wyzwolenie narodu. Przechodziły wraz z nowoczesną amerykańską bronią, przyslaną przez Waszyngton Czang Kai-szekowi. Według przybliżonych obliczeń, trzy czwarte amerykańskiego uzbrojenia i sprzętu przeszło w ciągu kilku lat w ręce Armii Ludowej i pomogło zadać śmiertelny cios amerykańskiemu panowaniu w Chinach.

Ale źródła zwycięstwa rewolucji chińskiej sięgały dalej i głębiej. Wskazał je również wielki Mao:

„Salwy armatnie Rewolucji Październikowej — mówił on — przyniosły do nas marksizm-leninizm. Rewolucja Październikowa pomogła elementom postępowym na świecie i w Chinach zastosować światopogląd proletariacki w celu rozstrzygnięcia losu kraju i zrewidowania własnych spraw. Kroczyć drogą Rosjan — taki był wniosek”.

Komunistyczna Partia Chin, a z nią olbrzymi naród chiński, poszły tą drogą aż do zwycięstwa. Dokonane zostało to, czego porażony ślepotą imperializm nie widzi po dziś dzień, a co już w r.

1918 przewidział geniusz Stalina, który w pierwszej rocznicy Rewolucji Październikowej pisał:

„...Rewolucja Październikowa jest pierwszą na świecie rewolucją, która wyrwała z odwiecznego snu masy pracujące uciskanych ludów Wschodu i wciągnęła je do walki z imperializmem światowym...”

* * *

Po wielkim, na dziejową miarę zwycięstwie przyszły wielkie następstwa. Trzy lata Chińskiej Republiki Ludowej to kroki olbrzymia, który stale idzie naprzód. Wystarczy kilka przykładowych liczb. W pierwszych miesiącach 1953 r. zakończona zostanie całkowicie reforma rolna, która objęła ok. 400 milionów ludności chłopskiej.

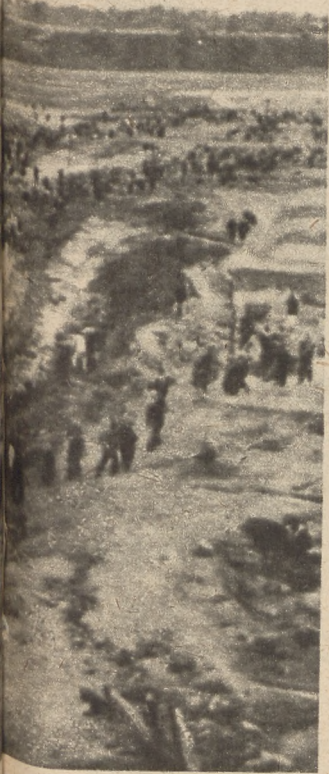
Podjęte zostało, i w dużej części przeprowadzone, gigantyczne dzieło ujarzmienia rzek — tych rzek, które rokrocznie niemal były przyczyną śmierci tysięcy i głodowania milionów Chińczyków. To, czego przez wiek nie potrafiła zrobić władza obszarniczo-burżuazyjna — dokonane zostało przez władzę ludową w ciągu trzech lat. A więc wzmocniono brzegi prawie wszystkich rzek. Zbudowano setki tysięcy kilometrów kanałów nawadniających. Stworzono sieć kanałów, zapór wodnych, rezerwuarów, które zlikwidują groźbę powodzi. W ostatnich trzech latach prace ziemne wyniosły 1.700 milionów metrów sześciennych czyli 25 razy więcej niż pod czas budowy Kanału Sueskiego. Ujarzmiono rzeki Huai, Jangtse, Ji, Szu i inne. Jakich rozmiarów były te prace, niech świadczy fakt, że przy pracach nad regulacją tylko dwu ostatnich rzek — Ji i Szu — pracowały 2 miliony chłopów, a regulacja ta dała im i chleb 5 milionom chłopów.

Wyniki reformy rolnej, wyniki ujarzmienia groźnych wód przyszły szybko: produkcja rolna w Chinach wzrosła prawie dwukrotnie i kraj, w którym rokrocznie tysiące ludzi dosłownie umierały z głodu, dziś może już eksportować ryż i zboże, może ratować Indie — głodujące, bo jeszcze spod obszarniczej władzy nie wyzwolone.

Chiny, do tej pory kraj o słabym i zacofanym przemyśle, stały się producentem stali, wzmogły dwukrotnie produkcję surowki i wydobyć węgla, 9 razy zwiększyły produkcję maszyn.



Chiny, do tej pory kraj o słabym i zacofanym przemyśle, przekroczyły wszystkie dotychczasowe wskaźniki produkcji. Po raz pierwszy eksport przewyższył import.



Wodzem 500-milionowego narodu chińskiego jest poeta, filozof i żołnierz, Mao Tse-tung, niezłomny przywódca w walce o szczęśliwą przyszłość wolnego kraju.



Wodzem 500-milionowego narodu chińskiego jest poeta, filozof i żołnierz, Mao Tse-tung, niezłomny przywódca w walce o szczęśliwą przyszłość wolnego kraju.



Po wyzwoleniu nastąpił w Chinach bujny rozwój kultury, opartej na wspaniałych, wielowiekowych tradycjach.

Y M A

Wszystko w dziejach Chin osiągnęło dodatni bilans handlu za eksport przewyższył im-

...braterską pomocą Związku Radzieckiego i wspiera naród chiński w dziele. Zawarty w r. 1950 między dwoma mocarstwami, zmieniającymi na świecie, jest ostoją Dalekiego Wschodu, jest zapórą dla wojennych planów imperializmu amerykańskiego.

...udzone w bieżącym miesiącu radziecko-chińskie w udziałem Józefa Stalina, są dowodem — jak stwierdził „Dziennik Ludu” — braterstwa między obu krajami. Jednym dowodem poszanowania suwerenności i honoru przez rząd radziecki.

...wśród największych państw świata liczą razem około 700 milionów ludzi i ponad 30 milionów radzieckich — to najpotężniejsza gwarancja pokoju. Przede wszystkim ta przyjaźń amerykańskiego panowania nad światem — jak stwierdził Mao Tse-tung — widoków powo-

...nie wykazały Chiny Ludowe w ostatnich kolejnych prowokacjach. Gdy bandycki nacjonalizm i bombardowanie terytorium stało się bezpośrednią groźbą dla narodu chińskiego, najlepsi żołnierze udali się ochotniczo na front z bohaterką armii koreańskiej, jak wyzwolicieli Azji walczyć potrafią w obronie ich niepodległości.

...sama ręka chce rozniecić ogień w Europie i Azji. Jedną z rąk uzbraja w Niemczech hitlerowców, a w Japonii

...wielki obóz pokoju, który polityce zbrodni występuje

...owa i Chiny Ludowe są w tym obozie i ten sam cel im — wolność i pokój narodom. Chiny i Chiny są przyjaciółmi w tej sprawie.

Zdrowe i wesole dzieci chińskie, do których należy przyszłość, tylko ze wspomnień rodziców będą znały ponury okres feudalnej niewoli.



NASZA czołwka zbliżała się w stronę Poczdamu. Na dziedzińcu pałacu Sans Souci, kolebki pruskiego militaryzmu, biwakowali żołnierze Armii Radzieckiej.

Z autostrady biegnącej z Poczdamu do Babelsbergu widać było iglicę berlińskiej wieży radiowej.

Berlin, osaczony ze wszystkich stron, palił się jak stos. Wzięta w stalowe kleszcze napierającej nieprzerwanie Armii Radzieckiej, stolica Trzeciej Rzeszy dogorywała. Poza linię frontu przedostali się co odważniejsi mieszkańcy Berlina, opowiadając nam o dantejskich scenach rozgrywających się wewnątrz miasta.

Oszaleli ze strachu i bezzilni SS-mani w brudnych, podartych mundurach (gdzieś podział się cały hitlerowski szyk i blichtr?)! krwawo uśmierzali najmniejszy odruch protestu, każda chęć zakończenia bezsensownych działań wojennych. Na latarniach wieszano żołnierzy, którzy nie chcieli więcej walczyć. Zabijano i torturowano kobiety, które opuszczały zatechłe bunkry i zalane wodą piwnice zbombardowanych domów, głośno domagając się wywieszenia białych flag. Matki chciały uratować swoje konające z głodu dzieci. W mieście nie było bowiem ani co jeść, ani co pić. Nie działały elektronicznie ani gazownie.

W magazynach wojskowych było wprawdzie dość jeszcze konserw, mięsa i najlepszych win oraz papierosów i cygar, ale ludności nie wolno było tknąć tych „świętości”. Groziła kula w łeb. I wielu głodnych ludzi zginęło w ostatnich niemal godzinach działań wojennych.

Gdy dzielnice za dzielnicami wpadały w ręce nacierającej Armii Radzieckiej, w samym sercu kwatery rządowej, opodal Brandenburskiej Bramy, w czworoboku między Unter den Linden i Leipzigerstrasse, konał największy zbrodniarz świata. W specjalnie dla niego skonstruowanym bunkrze, na dziedzińcu kancelarii Rzeszy, strzeżonym przez czarnych pretorianów Himmlera, wydawał ostatnie rozkazy — w próżnię — Adolf Hitler; zanim popełnił samobójstwo, uprzednio uśmiercił swoją kochankę Ewę Braun, której istnienie przez cały czas swoich rządów, trzymał w tajemnicy. Na wieść bowiem o jej istnieniu, przysłyby przeciw cały czar bohatera brunatnych Nibelungów, za jakiego w oczach pruskich dewotek uchodził pragnął ten potwór „Tysiącletniej Rzeszy”, której kres położył radziecki żołnierz zatykający sztandar zwycięstwa na ruinach Reichstagu.

Ale terror rozwydrzonych SS-manów nie trwał długo. Na wieść o nadciągającej czołwce wojsk radzieckich, wśród ludności zapanowała radość, że skończy się wreszcie bestialskie znęcanie się hitlerowskich żołdaków. Na każdej niemal ulicy i w każdym prawie domu samorządnie powstawały komitety dla witania zbliżających się oddziałów radzieckich jak i dla samoobrony przed hitlerowskimi maruderami.

W wielu dzielnicach robotnicy i żołnierze frontowi tworzyli oddziały obronne. Często dochodziło do starć z uciekającymi na zachód hitlerowcami, których dowódcy już wtedy zapewniali, że tam — pod opieką amerykańskich wojsk — włos im z głowy nie spadnie.



Niestawny koniec brunatnych Nibelungów: w osaczonym Berlinie wzięto do niewoli naczelną dowództwo armii hitlerowskiej, rozbitej przez wojska radzieckie.

NIEZAPOMNIANE SPOTKANIE

MARIAN PODKOWIŃSKI

Jak wiemy z doświadczenia, zbrodniarze wojenni nie omylili się wcale w swoich rachubach. Dzisiaj, uszedłszy karzącej ręce sprawiedliwości dziejowej, gorączkowo pracują nad przygotowaniem odwetu.

Na ulicach napotykalismy wtedy na ludzi z czerwonymi opaskami. Byli to Niemcy, którzy należeli bądź do nielegalnych organizacji antyfaszystowskich, bądź też oswobodzeni zostali właśnie przez wojska radzieckie z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Choć z wyraźnymi śladami przeżytych cierpień, często obdarci i wynędzniali, ludzie ci z całą energią przeciwstawiali się panującemu chaosowi, starając się ratować, co się jeszcze ratować w ogóle dało, przed szaleńcami niszczącymi, jak opowiadał cofając się w popłochu wojska hitlerowskie, policję Himmlera i urzędników ginącej Rzeszy.

Członkiem niemieckiego ruchu oporu, wżgardzonym i prześladowanym w okresie brunatnego reżimu antyfaszystom, Niemcy zawdzięczają nie tylko zlikwidowanie powojennego chaosu, jaki zwykle wybucha w okresie przejściowym, ale również i uratowanie wielu skarbow kultury narodowej i sztuki.

Ludzie ci zjawili się też natychmiast po upadku Berlina w głównej kwaterze radzieckiej w Poczdamie, uzyskując zezwolenie na organizację demokratycznego samorządu i rozdziału żywności wśród głodującej ludności Berlina. Wojska radzieckie postawiły do dyspozycji tych ludzi swoje własne zapasy — choć transport był wtedy tak uciążliwy! — aby opanować groźbę głodu w tym mieście, aby nie dopuścić do epidemii.

Radzieccy żołnierze, świętujący na ulicach zdobytego Berlina w tych niezapomnianych dniach majowych 1945 roku zwycięstwo nad hitleryzmem, działali więc w myśl wskazań Generalissimusa Stalina, który jeszcze w najcięższym okresie wojny, w roku 1942, przypominał, że „...hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki, a państwo niemieckie — pozostaje”.

• • •

Słowa te powtórzyłem po raz pierwszy napotkanemu przeze mnie nieuzbrojonemu Niemcowi, który zbierał niedopałki papierosów na Friedrichstrasse. Był to, jak się później okazało, robotnik metalowy zakładów Borsiga (dziś w sektorze francuskim Berlina).

Otworzył aż usta ze zdumienia, gdy

dałem mu paczkę polskich papierosów (zdaje się, że „Wisła”). Nie wiedział w ogóle czy ma wziąć je ode mnie. Nie z zażenowania bynajmniej, ale — jak instynktownie wyczułem — po prostu ze strachu.

— Opowiadano nam podczas oblężenia Berlina — powiedział do mnie Walter (tak miał na imię) — że jak Rosjanie i Polacy zjawiają się tutaj — to nas po prostu żywcem spalają... A tu tymczasem...

I nie dokończył zdania. W jego głosie zdawały się walczyć z rozsądkiem ostatki propagandowych toksyn Goebbelsa, dawkowanych w miarę zbliżania się frontu pod mury Berlina. Jednakże osad sceptycyzmu, mimo całej wyrafinowanej zbrodniczości tej ludobójczej propagandy, pozostał przecież w duszy tego robotnika, który swoje lata męskie przeżył w trybach hitlerowskiej maszyny, miażdżącej wolę i zdrowy rozsądek.

— Dziękuję panu za te papierosy — powiedział wreszcie Walter zduszonym głosem — wezmę je właśnie od Polaka i opowiem o tym mojej żonie... Muszę panu wyznać, że mój ojciec wszystko to przewidział — dodał po chwili namysłu, kiedy idąc już razem wzdłuż jezdni patrzyliśmy na zburzone domy, padające sobie niemal w objęcia Hitlera — że odąd ledwo chodził. Mimo to w drugim roku hitlerowskiej ery wstąpił do podziemnej organizacji i kolportował rozmaite ulotki. Zadenuncjowany, dostał się do obozu, gdzie musiał ciągnąć olbrzymie walce, pan chyba wie jak to było... I pewnego dnia otrzymaliśmy list, że po zapłaceniu 10 marek możemy odebrać urnę z jego prochami...

— Mój ojciec — ciągnął dalej Walter — był starym komunistą i zmarł w obozie Dachau. On wierzył w klęskę Hitlera i w pomoc Związku Radzieckiego. Jeszcze w rok po przewrocie Hitlera mój ojciec zorganizował masówkę w fabryce. Dostał od gestapo tak po grzbiecie, że odąd ledwo chodził. Mimo to w drugim roku hitlerowskiej ery wstąpił do podziemnej organizacji i kolportował rozmaite ulotki. Zadenuncjowany, dostał się do obozu, gdzie musiał ciągnąć olbrzymie walce, pan chyba wie jak to było... I pewnego dnia otrzymaliśmy list, że po zapłaceniu 10 marek możemy odebrać urnę z jego prochami...

Rodzinnie Waltera było ciężko w Trzeciej Rzeszy.

Cień ojca — komunisty zaciążył nad tym domem. Ale zjawili się i przyjaciele, którzy nie opuszczają nikogo w biedzie. Partia pomagała jak mogła rodzinie poległego antyfaszysty, choć sama była prześladowana i znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gdy przyszła wojna, Waltera nie wzięto na front. Był „niepewny”. Pracował więc w prowizorycznych fabrykach, w każdej chwili narażonych na zbombardowanie. Tu pracowały te właśnie „oporne elementy”, które trudno było legalnie zniszczyć, ale do których hitlerowcy nie mieli zaufania, zwłaszcza podczas wojny ze Związkiem Radzieckim.

Gdy zbliżał się nieuchronny kres Trzeciej Rzeszy, Walter miał zostać wysłany na front — czyli na pewną śmierć. Hitlerowskie grube ryby odpływały w tym czasie na zachód.

Walter opowiadał mi, jak stojąc przy rogatkach Berlina miał możliwość oglądania całej karawany samochodów, jakimi dostojnicy hitlerowscy wraz z całym dobytkiem opuszczali stolicę.

— Niektórzy mieli wcale zadowolone miny i auta pełne żywności, towarów i dywanów — powiada Walter — takim to chyba wszędzie dobrze, będą mieli z czego żyć!

A do stojących w milczeniu przechodniów wali:

— Walczcie do ostatniej kropli krwi... Wytrwajcie, my tu jeszcze wrócimy!

Walter nie poszedł na front. Ukrył się gdzieś w ruinach i wyczekiwał końca.



Historyczna chwila: bohaterski żołnierz radziecki zatknął czerwony sztandar zwycięstwa na ruinach Reichstagu.

A takich jak on — mówi Walter — pełno było wówczas w Berlinie. Biedacy pragnęli ratować przynajmniej życie, skoro wszystko inne stracili.

Gdy czołgi radzieckie zbliżały się do śródmieścia i słychać było grzechot gąsienic i terkot karabinów maszynowych, serce Waltera zabiło żywiej. — A więc już koniec — pomyślał i szedł co sił w kierunku pancernego loskotu.

Pierwszym żołnierzem radzieckim, jakiego w życiu widział Walter, był młody o jasnej czuprynie chłopiec w zielonkawym drellichu, ciężko ranny. Trafiał go widać jakiś zabłąkany pocisk.

— Mogłby być moim synem — rzekł Walter jakby na usprawiedliwienie — podszedłem więc do niego i własną chustką zawiązałem ranę. Chłopak aż westchnął z ulgi.

Po chwili zjawili się inni żołnierze radzieccy, podziękowali za opiekę, dali parę sucharów głodnemu Niemcowi i zabrali rannego towarzysza.

— A mówiono nam, że Rosjanie żywcem nas spalą — zauważył po raz drugi Walter, tym razem jakby mówiąc sam do siebie.

Gdy mu powtórzyłem słowa Stalina o problemie niemieckim, Walter powiedział tylko:

— Już mój ojciec mówił, że Rosjanie nam pomogą, nam robotnikom...

I bez słowa, tak jak przyszedł, znikł w pierwszej przecznicy zbombardowanej Unter den Linden.

• • •

Zapamiętałem sobie dobrze tę twarz niemieckiego robotnika, który w dniu narodowej klęski potrafił otrząsnąć się z całego balastu hitlerowskiej propagandy. Wiele takich twarzy widziałem wtedy i później w Berlinie i gdzie indziej. Ci ludzie pomogli demokracji niemieckiej budować zręby pokojowych Niemiec, stanęli do odbudowy kraju, a dziś skutecznie walczą z remilitaryzacją. Są w komitetach obrońców pokoju i potrafią ginąć w obronie swych ideałów, jak ów młodzieniec Filip Müller, którego dosięgły kule policji w Essen. Patriotci niemieccy pragną bowiem wymazać koszmar minionych dni z własnego życia, dla dobra nowego pokolenia.

A Walter Henkel — tak bowiem nazywa się mój rozmówca w dniu upadku Berlina — jest dzisiaj przodownikiem pracy w stalowni Max Hütte, w Turynii.

Gdy zwiadałem przed rokiem stalownię, podszedł do mnie po chwili wahania jakiś robotnik w niebieskim kombinzonie i zapytał, czy nie jestem przypadkiem owym Polakiem, który był w Berlinie pamiętnego maja 1945 roku.

I jak przyjacielskie zawołanie, przypomnieli mi słowa Stalina o narodzie niemieckim.

Walter, jak miliony Niemców, wyciągnął konsekwencje z tych historycznych słów wodza narodu, który rozgromił hitleryzm; dlatego jest po stronie niemieckiej demokracji budującej nowe życie. Patriotą niemiecki Walter Henkel nie chce bowiem po raz drugi zbierać niedopałków papierosów na zgłiszczach swojej ojczyzny.

NAMIĘTNY PIEWCA WOLNOŚCI

(W 150 ROCZNICĘ ŚMIERCI ALEKSANDRA RADISZCZEWA)

Napisał: ANATOL STERN

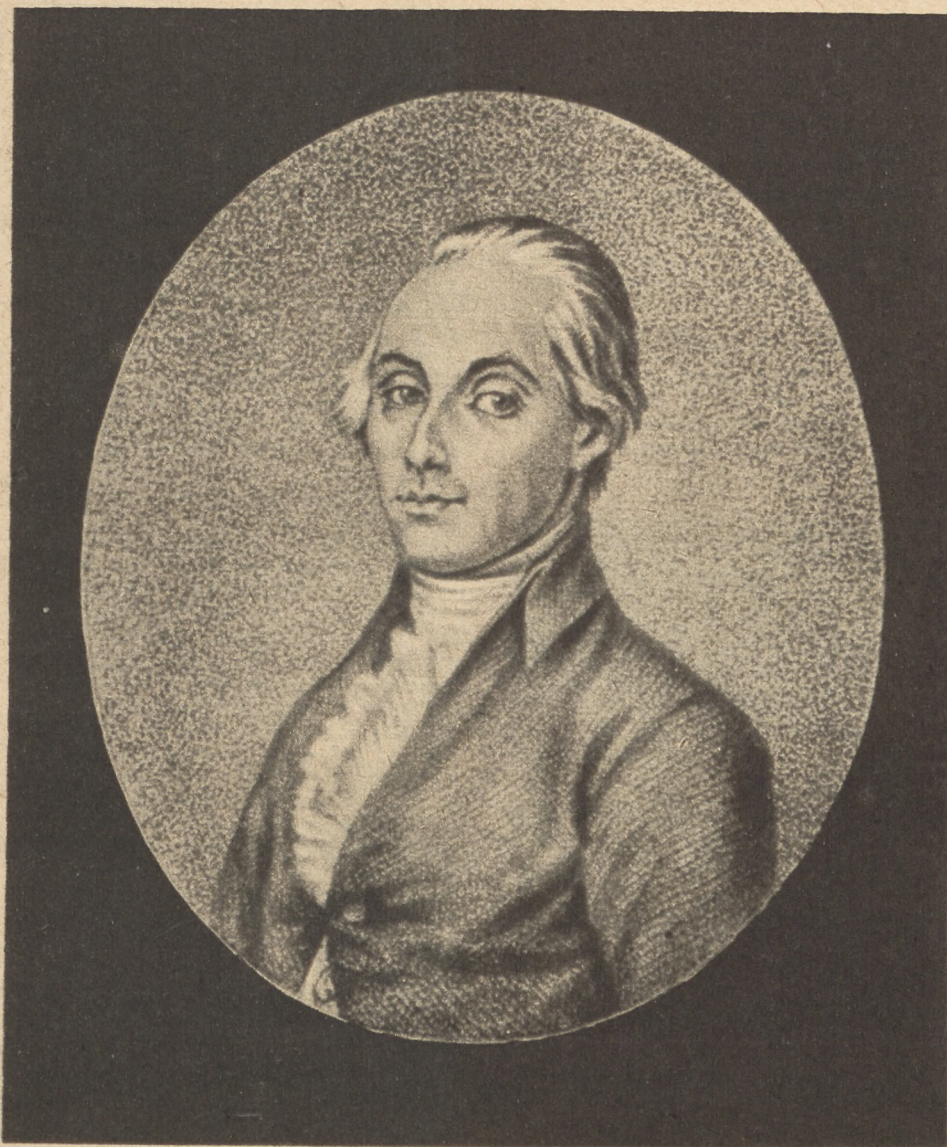
KIM był Aleksander Radiszczew?... Pierwszym rewolucjonistą w literaturze rosyjskiej — pierwszym pisarzem rosyjskim, który powstał przeciwko hańbie usankcjonowanego przez państwo niewolnictwa i stanął w obronie praw politycznych ogromnych mas chłopów pańszczyźnianych.

Był to człowiek, który ośmielił się przeciwstawić — sam jeden — jednej z najpotężniejszych i najbardziej okrutnych monarchii absolutnych — Katarzynie II. Uczynił to z całą świadomością niebezpieczeństwa, na jakie się narażał. Ta niezwykła odwaga oszołomiła jego współczesnych i nie przestaje zdumiewać nas po dziś dzień.

Aleksander Mikołajewicz Radiszczew urodził się 31 sierpnia 1749 roku we wsi Wierchnieje Oblazowo, w gubernii sara-towskiej, jako syn wykształconego ziemianina. Rodzina jego stanowiła rzadki w owych czasach wyjątek: byli to ziemianie odnoszący się humanitarnie do swych chłopów. Ale w wyobraźnię chłopca wryły się i miały już na zawsze pozostać w jego pamięci wspomnienia nieludzkiego okrucieństwa, z jakim traktowali swych poddanych sąsiedzi. Nierzadkie były wypadki, gdy chłopów zmuszano do jedzenia w korytach, jak bydłęta, za najmniejsze przewinienie brano ich na łańcuch, jak podwórzowe psy, za większe zaś — wymyślnie torturowano. Radiszczew wyniósł z rodzinnego domu przeświadczenie, że masie chłopskiej dzieje się krzywda, która powinna być za wszelką cenę naprawiona.

Duży wpływ na kształtowanie się poglądów Radiszczewa wywarli pierwsi wychowawcy Aleksandra. „Niania“ — podobnie jak później młodego Puszkina — zapoznała go ze skarbami twórczości ludowej, bajkami i pieśniami. W wieku chłopcym, gdy został wysłany przez rodziców do Moskwy, guwernerem jego został gorący republikanin francuski, którego poglądy polityczne zmusiły do opuszczenia ojczyzny. Wkrótce po wstąpieniu na tron Katarzyny II, po krótkotrwałej służbie w Korpusie Paziów, zostaje Radiszczew wraz z kilkoma najzdolniejszymi towarzyszami wysłany do Lipska, celem studiowania na tamtejszym uniwersytecie wiedzy prawniczej. Pięć lat pobytu za granicą dało młodemu człowiekowi niezwykle wiele: Radiszczew studiował nie tylko prawo i językoznawstwo, ale i nauki przyrodnicze, zwłaszcza chemię i medycynę. Co najważniejsza zaś, zetknął się z ówczesną materialistyczną filozofią encyklopedystów francuskich, przede wszystkim Helwecjusza, Woltera, Mably. Właściwym więc uniwersytetem dla Radiszczewa stała się rewolucyjna myśl francuskiego Wieku Oświecenia. Dała mu ona podstawy światopoglądu, którego bronił walczyć przeciwko carskiej tyranii, w obronie uciśnionych mas narodu rosyjskiego.

Ukończywszy w roku 1771 uniwersytet, powrócił Radiszczew do Rosji z postanowieniem „poświęcenia swego życia ojczyźnie“. Staje jednak oko w oko z najbardziej ponurą rzeczywistością. Liberalne gesty Katarzyny II należą już do bezpowrotnej przeszłości; jej „wolnomyślność“ objawia się wyłącznie w błazeńskiej korespondencji z Wolterem. W kraju panowała atmosfera absolutyzmu, który na pośmiewisko tylko można było nazwać oświeconym. Radiszczew na krótko oddaje się pracy w pań-



A. M. RADISZCZEW 1749 — 1802. (Rys. I. Wendramini).

stwowej maszynie biurokratycznej i już w r. 1775 podaje się do dymisji.

Do kroku tego skłoniło go wielkie wydarzenie polityczne, którym było powstanie Pugaczowa. Powstania chłopskie, wywołane okrucieństwem i bezprzykładną samowolą ziemian, nie były rzadkością w wieku XVIII. Powstaniem jednak, które wstrząsnęło imperium, był słynny bunt Pugaczowa.

Dla Radiszczewa powstanie to było manifestacją żywych sił ludu, który nie zrezygnuje nigdy z walki o swe prawa do wolnego życia. W najrozmaitszych ulotnych pismach daje też wyraz — niekiedy na marginesie — przeświadczeniu o słuszności tej walki. Podczas, gdy po stłumieniu buntu szereg jego przyjaciół pod wpływem terroru zwraca się ku mistycyzmowi i szuka ucieczki w mglistym gadulstwie łóż masonskich, Radiszczew coraz konkretniej zaczyna myśleć (i pisać) o konieczności zwalczania samowładztwa. Tak powstaje „Wyjątek z podróży do I. T.“, którego ostrze skierowane jest przeciwko niewoli pańszczyźnianej, „Podbierieżje“, stanowiące rozdział jego późniejszego sztandarowego dzieła, a będące satyrą na mistycyzm, i wreszcie oda „Wolność“, pod której wpływem powstał później utwór Puszkina pod tym samym tytułem, a w której Radiszczew powitał entuzjastycznie walkę narodu amerykańskiego o niepodległość. Oto wyjątek z tej ody (w pięknym tłumaczeniu S. Pollaka):

Widzę, miecz ostry wszędzie błyska
I śmierć nie schodzi z bojowiska,
Nad dumną głową polatuje.
Skowane cieszcie się narody,
To prawo zemsty — głos przyrody,
To car na szafot już wstępuje.

Oda „Wolność“ — to preludium do potężnej symfonii rewolucyjnej, która pod nazwą „Podróż z Petersburga do Moskwy“ miała ściągnąć pioruny na głowę pisarza. Za życia Radiszczewa wydrukowana w skrócie, została ona w następujący sposób scharakteryzowana przez Katarzynę II: „Stronice o zbrodniczej intencji, zupełnie buntownicze“. I owo nawoływanie do buntu przeciwko ciemnościom nie przestaje być również motywem przewodnim następnych utworów Radiszczewa, takich jak: „List do przyjaciela“, „Żywot Fiodora Wasiliewicza Uszakowa“ i „Dyskurs o tym, czym jest syn ojczyzny“.

Wreszcie przy akompaniamencie dalekich grzmotów Rewolucji Francuskiej ukazuje się w maju r. 1790 radiszczewowska „Podróż z Petersburga do Moskwy“. Dzieje ukazania się tej książki są niezwykle. Ponieważ po zapoznaniu się z jej rewolucyjną treścią drukarz nie chciał jej wydrukować, Radiszczew nabył niewielką drukarenkę i utwór ten wydrukował sam. Musiał być świadom niebezpieczeństwa, którym grozi rozpowszechnienie jego utworu, gdyż zdecydował się na oddanie do sprzedaży

zaledwie 25 egzemplarzy spośród 650, które sporządził. Książka wkrótce znalazła się w ręku carycy, która tego samego dnia jeszcze powiedziała do swego sekretarza, Chrapowickiego: „To buntownik gorszy od Pugaczowa“. Z jej rozkazu auto- „Podróż“ został aresztowany i osadzony w twierdzy Pietropawłowskiej. Śledztwo miał prowadzić „kat domowy“ Katarzyny (jak go nazwał Puszkina) — osławiony Szeszkowski. Klejnoty, przesłane przez szwagierkę Radiszczewa „krwawemu spowiednikowi“, uratowały autora „Podróż“ przed torturami.

Komedia sądowa rozegrała się pod bezpośrednim kierownictwem Katarzyny. Pisarz został skazany na karę śmierci, lecz „łaska“ imperatrycy zamieniła karę tę na zesłanie. Sama podróż zaku- tego w kajdany pisarza-rewolucjonisty na Sybir trwała rok i cztery miesiące.

Dopiero wstąpienie na tron Pawła I wpłynęło na zmianę losów Radiszczewa, któremu pozwolono wrócić do kraju i zamieszkać w dziedzicznym majątku. Gdy Pawła I zastąpił car Aleksander, Radiszczew uzyskał całkowitą amnestię; powołano go nawet do udziału w pracach komisji przygotowującej projekt reformy ustawodawstwa. Autor „Podróż“, podobnie jak wielu innych, żywił złudną nadzieję, że młody car da początek nowym prądom społecznym. Wkrótce jednak przekonał się, że „Aleksander ma w sobie wiele z kaprała i bardzo mało z Piotra Wielkiego“. Radiszczew bronił odważnie w komisji swych poglądów, napotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem, i wreszcie, zmęczony nierówną walką, 11 września 1802 roku zażył truciznę.

Takie są niepowszednie dzieje człowieka, który jest autorem pierwszego rewolucyjnego utworu w literaturze rosyjskiej. „Olbrzymie znaczenie, jakie miała książka Radiszczewa w rozwoju rosyjskiej literatury i myśli społecznej — pisze historyk literatury D. D. Błagoj — polega na przenikającej całej „Podróż“ wierze jej autora, że rewolucja ludowa jest nieunikniona, że musi przyjść władza ludu“. Wiara ta znajduje mocne podwaliny w świadomości praw rozwoju historycznego społeczeństwa, która każe Radiszczewowi nawoływać ciemnione masy do obalenia despotyzmu. Mimo pokrewieństwa z myślą wielkich pisarzy Wieku Oświecenia, na próżno szukałbyś tu uśmierzającego sceptycyzmu Woltera lub umiarkowanego liberalizmu Rousseau czy Diderota. Słowo Radiszczewa oddycha nieznanym na ogół encyklopedystom tragizmem i namiętnością. I jeśli najmocniejsze pioruny tamtych uderzały w niebiosy i religię, to Radiszczew nie uląkł się wystąpić przeciwko bliższemu i niebezpieczniejszemu przez to przeciwnikowi, mianowicie despotyzmowi samowładcy i jego obszarniczych pupiłów.

I nie przypadkiem po zwycięstwie Rewolucji Październikowej wyzwolony lud rosyjski wniósł pierwszy pomnik Aleksandrowi Radiszczewowi.

TAJEMNICA TORREADORA

1)

JERZY WALDORFF

JESIEŃ zamyka lato, lecz otwiera muzykę. To pora, kiedy ludzie interesujący się koncertami czy przedstawieniami operowymi zaczynają nadstawiać uszu: co i gdzie będzie grane w nowym sezonie?

Aby zebrać trochę wiadomości na ten temat, udałem się do właściwego urzędnika.

— Co słyhać? Jak się przedstawia wasz program?

Urzędnik zemdlął, potem przyszedł do siebie i powiedział:

— Nic nie słyhać.

— Jakto nic? Przecież Filharmonie...

— Na litość boską, niech pan milczy!

To tajemnica ściśle urzędowa.

— No, a Opery?

— To najbardziej tajemnicza z tajemnic!

Wyciągnąłem pudełko z papierosami.

— Czy pan pali?

Urzędnik zbliżył jak papier.

— A na co panu ta wiadomość?...

— Czy to też tajemnica?

— Może tajemnica, może nie, a ja tam wolę milczeć. Jeszcze babcia uczyła mnie, że:

Zaczem pomyślałem, że już stworzył świat i że siódmego dnia będzie odpoczywał. Udałem się do jego prywatnego mieszkania, na wszelki wypadek — o drugiej w nocy. Aliści okazało się, że dyrektor o 0.32 wyjechał do Wrocławia.

Zostałem zdany na samego siebie. Szczęście jednak służyło mi, bo pewnego dnia zauważyłem na ulicy młodą i śliczną kobietę, która z podejrzanym wdziękiem przebiegała nogami. Właśnie miała wejść do bramy domu przy ul. Nowogrodzkiej 49, kiedy towarzysz jej powiedział:

— Ty, jako Julia...

Wystarczyło! Przebrany za torreadora, pod pozorem, że mam śpiewać w „Carmen”, wśliznąłem się do Opery Warszawskiej i tam uzyskałem następujące tajemnicze informacje.

DŁUŻEJ, ALE GRUNTOWNIEJ

Prowizoryczny gmach Opery Warszawskiej przebudowuje się. Początkowo miała być przebudowana tylko scena — pogłębiona i rozszerzona o nie-

skomponował i przygotowuje zespół bardzo utalentowany baletmistrz — Jerzy Gogół.

GRAC, ALE GDZIE GRAC? — OTO JEST PYTANIE

Przebudowa Opery weszła w parady także i Filharmonii Warszawskiej, która tam koncertowała. Ów młody zespół to nasze oczko (czy uszko?) w głowie i nasza nadzieja. Bo świetnie pracuje i rozwija się, no i w przyszłości on właśnie ma się przekształcić w Filharmonię Narodową.

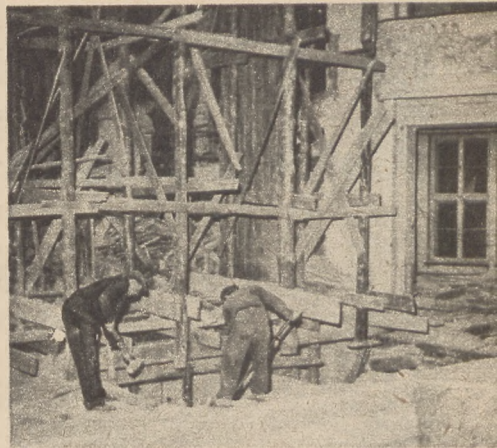
Plan koncertów, zaprojektowany przez dyr. Rowickiego na nowy sezon, przedstawia się wielce zachęcająco. Usłyszymy I Symfonię Szostakowicza i II Skriabina, i III koncert fortepianowy Prokofiewa, i cykl Symfonii Brahmsa, i wiele utworów Szymanowskiego, i nowy „Koncert na orkiestrę” Lutosławskiego, i Koncerty fortepianowe Ravela oraz Bartoka, i „Nokturny” Debussy'ego, i „Przygody Sowizdrzała” R. Straussa i wiele innej ciekawej muzyki symfonicznej. Ponadto Filharmonicy wprowadzają nowość: dawać będą koncerty muzyki kameralnej.

No, dobrze. Ale gdzie ci Filharmonicy mają grać? Do mrozów — w Hali Mirowskiej, a potem?...

Proponuje im się różne rozwiązania sytuacji. Oni twierdzą uparcie, że najlepiej byłoby odbudować gmach Filharmonii przy ul. Jasnej, którego mury prawie że wystarczyłyby tylko pokryć dachem. To doprawdy źle, że dotychczas — w bez mała 8 lat od oswo-bodzenia Warszawy — gmach ów nie został odbudowany! Tym bardziej nie-dobrze, iż sporo winy ponoszą sami muzycy. Od początku spierali się, kto ma przejść do nieśmiertelności jako dyrektor odbudowy, a kto jako pierwszy dyrektor odbudowanej Filharmonii. W wyniku, odbudowy nie rozpoczynano, władze zaś zniechęcały się do tej akcji coraz bardziej. Należałoby więc tę sprawę czym prędzej zrewidować w jakiś rozsądny sposób.

Chwilowo trzeba bezdomnym Filharmonikom znaleźć szybko jakąś salę na zimę. Najlepsza zdawałaby się sala przy Alei Wyzwolenia. Wystarczyło by poszerzyć nieco estradę i za kilka dni Filharmonia mogłaby rozpocząć tam koncerty. Tym łatwiej, że salę zajmowałyby jedynie dwa razy tygodniowo: w piątki i niedziele. Próbować Filharmonia może nadal w gmachu Opery, w swojej bocznej salce.

Przy okazji nasuwa się bardzo istotna refleksja. — W Warszawie budoje się i projektuje coraz więcej dzielnicowych Domów Kultury. Ale sale w nich, nieraz piękne i mogące pomieścić kilkadziesiąt osób (jak np. w Domu Kultury na Żoliborzu), mają prawie z zasady sceny czy estrady obliczone tylko na solistów lub małe zespoły. Dlaczego?! — Wystarczy zaprojektować kilka metrów



Opera Warszawska ulega dłuższej trwającej, ale gruntownej przebudowie.

estrady więcej i w każdym dzielnicowym Domu Kultury mogłaby koncertować orkiestra symfoniczna. Koledzy architekci! Nie zamykajcie drogi do mas symfonikom i skorygujcie wasze plany.

„MAZOWSZE” W CHINACH

Nasza radość i duma, źródło nowych pieśni, które podbiły nasze serca — zespół „Mazowsze” objechał niedawno kawał kraju. Zaczawszy od Warszawy, był w Częstochowie, Sosnowcu, Katowicach, Bytomiu, Zabrzu, Gliwicach, potem śpiewał i tańczył dla kilkunastu tysięcy ludzi na dziedzińcu wawelskim i odwiedził także Nową Hutę.

Teraz „Mazowsze” jest w Karolinie i pod kierunkiem swego znakomitego twórcy, Sygietyńskiego, zabiera się do przygotowania nowego programu. Baletmistrz „Mazowsza” — E. Papliński jest jeszcze w Helsinkach, gdzie uczy fińskich tancerzy, jak tańczyć polskie tańce w „Halce” Moniuszki, wystawianej w Finlandii. Ale niedługo i Papliński powróci do Karolina.

W przyszłym bowiem roku czeka „Mazowsze” nie lada podróż. Dwa tygodnie występów na Węgrzech, dwa w Rumunii, miesiąc w ZSRR i dwa miesiące w Chinach — oto jaką baśń na jawie pozwala przeżywać młodym chłopcom Polska Ludowa.

TYLKO TANIEC!

Drugi zespół, który dobrą pracą zwrócił na siebie uwagę społeczeństwa, a mianowicie dziewczęcy zespół „Malwy” — też objechał niedawno część kraju: dał 7 koncertów w większych ośrodkach Śląska.

Podobnie jak „Mazowsze”, również i „Malwy” biorą się do roboty nad nowym programem. Dotychczas „Malwy” występowały w towarzystwie solistów, śpiewaków. W przyszłości założycielka i kierowniczka „Malwy” — St. Stanisławska chciałaby widzieć swój zespół jako czysto taneczny. W tym celu liczba dziewcząt wzrośnie z 16 na 24 i „Malwy” otrzymać mają własną 16-osobową orkiestrę.

Prócz tańców ludowych Stanisławska projektuje wystawienie także tańców charakterystycznych, pół-klasycznych, a nawet czysto klasycznych.

Ciekawe zamierzenia, zdolny zespół — obserwujmy pilnie jego robotę.



W ubiegłym sezonie dyrygował i znowu dyryguje Filharmonią Warszawską wielki kapelmistrz niemiecki, H. Abendroth. Ale gdzie ten zespół grać będzie w zimie?

Omijają dolę złą

Tylko tacy, co się bą.

— Bą?...

— Trzecia osoba liczby mnogiej od słowa „bać”. My się bamy, wy się bacie, oni się bą.

Tu urzędnik zadzwonił na sekretarkę:

— Czy pani milczy?

— Wyłącznie, obywatelu szefie!

— To w porządku.

Ja jednak byłem zdania, że nie wszystko jest w porządku.

— Przecież to należy do pańskich obowiązków, żeby udzielać społeczeństwu informacji!...

— Nie udzielam żadnych, w żadnym wypadku. Nawet jak do mnie telefonują, to podejmuję słuchawkę i przykładam do ucha, ale milczę. Strzeżonego... wie pan... i te rzeczy!

— Więc co mam zrobić?

— Niech pan idzie do naczelnego dyrektora. Tylko on może panu udzielić wyjaśnień.

Urzędnik ponownie zadzwonił na sekretarkę, która przyniosła watę. Tą watą urzędnik zatkał sobie uszy, a potem i nos, żeby nikt nie mógł go posłuchać, iż zwąchał pismo nosem.

Wobec tego pożegnałem się i postanowiłem dostać się do naczelnego dyrektora. Ale naczelnny dyrektor — zmuszony do pracowania za wszystkich urzędników, którzy się boją jakiegokolwiek decyzji na własną odpowiedzialność — był ogromnie zajęty. Przez sześć dni szturmowałem do niego nadaremnie.

zbędne kuliszy. Aliści w trakcie robót czynnik decydujący doszedł do słusznego wniosku, iż lepiej będzie przebudować za jednym zamachem i widownię. Niechże poprawią się warunki nie tylko koza, ale i przed kurtyną! Sala otrzymała piękne wnętrza, z wygodnymi fotelami, ponadto — co najważniejsze — lepiej przystosowane akustycznie. Ze wszystkich miejsc będzie słyhać muzykę i śpiew jednakowo dobrze. Skoro zostanie odbudowany Teatr Wielki, to gmach na Nowogrodzkiej będzie, jak znalazł, dla operetki.

Oczywiście tak gruntowna przebudowa niemal całego wnętrza teatru musi potrwać. Opera zostanie ponownie otwarta z pewną zwłoką. Ale warto zaczekać, by mieć w zamian pełnowartościowy budynek teatralny.

Tymczasem zespół Opery, pod kierunkiem nowego dyrektora — Z. Łatoszewskiego (to ten sam, co tak świetnie prowadził Studio Bałtyckie!) powziął zobowiązanie, iż jeszcze przed początkiem następnego roku przygotowuje całokształt od strony muzycznej i wokalne dwie nowe opery.

A balet? Balet opracowuje wspaniałe widowisko baletowe „Romeo i Julia” według Szekspira, z muzyką sławnego Sergiusza Prokofiewa. Śliczna, młoda kobieta, którą zauważyłem na ulicy, to — Bittnerówna, która będzie tańczyć partię Julii, na zmianę z O. Glinkówną i L. Wolską. Partię Romea tańczyć będzie W. Gruca. Układ choreograficzny



„Malwy” — podczas pochodu 1-majowego tańczyły przed trybuną honorową.

NOWA KSIĘGA DŻUNGLI

OPOWIADANIE HISTORYCZNE
Z POŁOWY XX WIEKU

LUALA RU wybiegł z miasta o świcie. Zwolnił dopiero kroku, gdy znalazł się daleko za ostatnim domami przedmieść, gdy szerokim półkolem ominął zabudowania pierwszych plantacji kaczuki otoczone zasiekami. Skręcił na polną ścieżkę. W dali ciemniała w oparach minionej nocy wysoka ściana dżungli. Przysiadł na mokrym od rosy kamieniu i chwycił otwartymi ustami strzępy chłodnej mgły, która opadała coraz niżej. Słońce oświetlało druty i roziskrzało wielkie złote litery, wymalowane na czarnej tablicy w wejścia do plantacji: „Golden Hope Rubber Estate”.

— Golden Hope... Złota nadzieja...
Luala przestraszył się swego głosu.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, dlaczego tak szybko biegł, gdzie jest, dokąd dąży.

Wszystko przyszło tak nagle. Wczoraj jeszcze układał z Kisanim i Czen Li plany na przyszłość. Za dwa dni Czen Li przywiezie egzaminatora z Tanjong Malim. Jeśli zdadzą, a zdadzą na pewno, odjadą natychmiast razem z nim do szkoły. Wtedy Czen zabierze z wioski w ten sam sposób, co kiedyś Luala, jego młodszego brata, który ma już siedemnaście lat i bardzo jest doń podobny. Na miejsce Kisaniego Czen też już miał kandydata, chińskiego chłopca, którego znalazł omdlałego z głodu gdzieś w czasie swoich wyjazdów i odkarmił go teraz forsownie. Z mister Smithem załatwi to, że obaj chłopcy zastaną przyjęci do pracy na miejsce dwóch uciekinierów. Dla bossa najważniejszym było, by mieć zawsze odpowiednią ilość rąk do pracy. Czyje to były ręce, było mu zupełnie obojętne.

Przed wieczorem odjechał Czen do Tanjong Malim. Wkrótce potem spadła gwałtowna ulewa. Chłopcy skryli się do robotniczego baraku Złotej Nadziei i do późna w nocy przepytывali się raz jeszcze ze zdobytej u Czena wiedzy. Pomagali im trzej inni robotnicy, którzy także byli uczniami Czen Li. Zasnęli późno. Leżeli obok siebie na wilgotnych matkach wśród kilkudziesięciu takich samych jak oni fizycznych pracowników londyńskiej firmy.

Zbudziło go łagodne dotknięcie czyjejś ręki. Podniósł powieki. Tuż przy sobie twarzy zobaczył smutne, dobrotliwe oczy jakiegoś starego Malajczyka — widział go kiedyś w wiosce rodzinnej — i jednocześnie usłyszał słowa, wymawiane prawie bez dźwięku, za to docierające do serca z hukiem, jak grzmot obrywających się skał.

— Rude angielskie diabły zabiły twe-
go ojca, uprowadziły siostry, brat skrył się w dżungli, matka jest sama, prosi byś wracał...

Luala przymknął oczy. Myślał, że to sen. Łagodny ucisk ręki na czole ustąpił, pozostał kamienny ciężar serca. Luala z trudem ponownie podźwignął powieki. Stary Malajczyk, jakby tańczył, przeskakując śpiących, aż znikł w drzwiach baraku. A więc nie sen. Luala zerwał się, dwoma susami dobiegł do drzwi i począł biec.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że nie zostawił żadnej wiadomości Kisa-

niemu. No trudno, stało się, wieczorem wróci, opowie wszystko.

Spojrzał znów na ozłocone porannym słońcem kolczaste druty. Poruszył war-gami. Usłyszał śpiwny szept: „Biedny ojciec! Na próżno zginał kark!” Potem głośnie: „Rude diabły! Doczekacie się zapłaty”.

Dźwięk własnego głosu przywrócił mu przytomność. Rozejrzał się wkoło, nie było nikogo. Z oddali usłyszał war-kot samochodów i czołgów, toczących się po szosie. Zerwał się i znów ruszył biegiem, tym razem ścieżką polną, która ścinała drogę do wioski ukrytej za pierwszym załomem dżungli.

Biegł szybko, coraz szybciej, ścieżka ocierała się już o skłębione liany lasu. Do-biegł do zakrętu. Tu rozpoczynały się sułtańskie pola, które pogarbiły ojca. Za nimi zobaczył wioskę i okrągły plac porośnięty, jak kępami mchu, małymi domkami, z których jeden rozpoznawał natychmiast.

Zwolnił kroku. Szedł wolno, coraz wolniej, wąską miedzą dzielącą sułtańskie pole od wioskowych pól. Dyszał ciężko. Serce tłukło się niespokojnie. Przystanął.

W tej samej chwili poczuł w piersi szarpający ból, do uszu wdarł się stłumiony bólem huk wystrzału i Luala Ru rozkrzyżował ramiona i padł na ojczystą, ludzką ziemię, nic już nie rozumiejąc, nic już nie czując.

Gdy odzyskał na chwilę przytomność, usłyszał wokół siebie bulgotliwe dźwięki mowy żołnierzy z Kompanii Złotej Nadziei. Z trudem podźwignął powieki. Nad nim pochylał się chłopak w żołnierskiej bluzie, tak samo ciemnowłosy, tak samo chyba dziewczętno-letni, tylko o bielszej twarzy i bielszych rękach, z których jedna oparła się mocno, bardzo mocno o czoło Luali, druga zaś zaciskała spokojnie rękę na wystrzonej stali.

Luala Ru zamknął powieki i nikt już więcej nie zobaczył jego oczu, iskrzących się ludzką nadzieją.

Kisani otworzył oczy w tej samej chwili, kiedy Luala zniknął w drzwiach baraku. Zerwał się więc tknięty złym przecuciem i wybiegł na dwór. Dostrzegł jeszcze przyjaciela jak zniknął za rogiem ulicy. Popędził w ślad za nim, ale drogę przecięły mu wojskowe wozy, załadowane żołnierzami, i czołgi. Trwało to dość długo. Gdy wreszcie znalazł się po drugiej stronie, dojrzał tylko jakie-

goś starego Malajczyka, który włókł się w stronę rogatki. Kisani podbiegł doń i spytał, czy nie widział chłopaka biegnącego tu przed chwilą.

Stary popatrzył uważnie na Kisaniego i spytał:

— A kim ty jesteś?
— Przyjacielem Luali.

Wymówił oba te słowa tak szczerze, że starzec nie miał żadnych wątpliwości, iż mówi prawdę. Podzielił się więc z nim złą nowiną, którą przyniósł Luali.

Kisani postanowił odnaleźć przyjaciela. Razem lepiej uradzą, co zrobić z matką. Może zgodzi się zamieszkać razem z jego matką, też wdową.

Przy wyjściu z miasta Kisani dostrzegł rozstawione na szosie patrole. Z ostatniego na przedmieściu domku wyleciała kilkuletnia dziewczynka, wzięła go za rękę i zaświergotała:

— Mamusia powiedziała, żebyś nie szedł dalej, tylko zaraz wracał.

Kisani dał się prowadzić dziewczynce. Lęk o przyjaciela stawał się coraz silniejszy. Wszedł jak lunatyk do obcego domu, usiadł w pobliżu okna i bez słowa wpatrywał się w odcinek szosy zamknięty przez patrol policyjny. Raz po raz przejeżdżały wciąż nowe auta zaopatrzone wojskiem.

Matka dziewczynki próbowała do niego przemówić. Nie słyszał.

Mijały godziny. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Żar przybliżał południe. Pierwsze samochody z żołnierzami zaczęły wracać. Jedna z ciężarówek przystanąła na ułamek sekundy. Zacharczał motor. Ruszyła dalej.

Równocześnie z motorem Kisani krzyknął, potem zaciśniętymi pięściami



zasłonił sobie szeroko otwarte oczy i jak ślepiec rzucił się w stronę drzwi. Ale drzwi były zamknięte. Matka dziewczynki stała przed nim i mówiła:

— Nie wypuszczaj cię póki się nie opamiętasz. Nic nie pomożesz teraz. Pomóc może tylko ten, kto myśli.

Kisani drgnął. Nieznajoma kobieta mówiła to samo, co stale powtarzał Czen Li. Opuścił pięści na wysokość ramienia. Wzniósł w górę głowę, po raz pierwszy tak mocno odczuł siłę, która była w nim i wokół niego, w każdym zakątku jego ojczyzny. Spokojnym już głosem, patrząc w okno powiedział:

— I Twoje będzie zwycięstwo, Luala Ru!

Christopher Brown zeskoczył z ciężarowego wozu na koszarowy dziedziniec i zwyczajem przyjętym od niedawna w Kompanii, ustawił się jako bohater dnia do fotografii. Prawą rękę wsparł się o karabin, lewą trzymał mocno za włosy odciętą od kadłuba głowę Luali i bez drgnienia powiek patrzył prosto w obiektyw aparatu. Na rozpiętej bluzie matczynej krzyżyk świadczył, że Christopher Brown czyste ma sumienie,

jak każdy z linii męskiej Brownów, który wiernie wykonywał królewskie rozkazy.

Kolega dał znak, że zdjęcie gotowe. Christopher uśmiechnął się dumnie i żołnierskim krokiem kiplingowskiego pioniera kultury ruszył do metalowego baraku z napisem: „40 Command R. M. Heavy Weapons Group Office”.

Zameldował się u kasjera. Ten wskazał mu wysoki kosz w części już za-pelniony ludzkimi głowami i jednocześnie podsunął blok kasowy do podpisu. Christopher wrzucił głowę do kosza, oparł o ścianę karabin, podpisał kwit, a potem dokładnie przeliczył podany mu plik banknotów.

Well! Dwieście malajskich dolarów! Premia za każdego zabitego „bandytę” wypłacana każdemu żołnierzowi czy osobie cywilnej w Unii Malajskiej, w roku 1952 naszej ery, z kasy Jej Królewskiej Mości, o ile dostarczony zostanie dowód mordu — głowa zabitego.

EPILOG

Śmierć Luala Ru, dziewiętnastoletniego chłopca narodowości dosłownie ludzkiej — w języku jego narodu słowo „Malai” oznacza po prostu „ludzie” — miała następstwa, jakich nie był w stanie przewidzieć jego morderca, ślepy jak kret dziewiętnastoletni Christopher Brown, żołdak złotych nadziei obywateli City Londynu i New Yorku.

Zdjęcie Christophera Browna z głową Luala Ru dotarło wraz z innymi podobnymi fotografiami wiosną 1952 roku do postępowej prasy angielskiej i amerykańskiej, a z kolei do pism całego świata i wywołało protest milio-nów ludzi w całym świecie.

Przywódca Komunistycznej Partii Anglii, Harry Pollitt, oświadczył, że zbrodnia wojna na Malajach od lat okrywa największą hańbą imię Anglii, a zdjęcie to dokumentuje hańbę tę przed całym światem. Ku zdumieniu obywateli City Londynu pogląd Harry Pollitta, jak świadczyły tysiące listów napływających do redakcji pism i do posłów parlamentu, jest podzielany przez szerokie rzesze społeczeństwa angielskiego. Sprawa oparła się o Nowy Pałac Westminsterski, gdzie w sali Izby Gmin padły pytania, czy Rząd J. K. M. uważa zdjęcie opublikowane w prasie za autentyczne i jakie jest jego stanowisko w tej sprawie.

Rzecznik Rządu Jej Królewskiej Mości odpowiedział zgodnie z duchem ginącego świata:

„Autentyczność zdjęć jest niewątpliwa. Pragnę jednak zapewnić Wysoką Izbę, że Rząd Jej Królewskiej Mości powziął już właściwe kroki, aby nie powtórzyły się w prasie tego rodzaju publikacje. Generał Sir Gerald Temp-ler, którego — pragnę to podkreślić — Rząd J. K. M. darzy pełnym zaufaniem, otrzymał polecenie wydania zakazu podległym mu wojskom fotografowania tego rodzaju scen...”

Żyjemy w przesileniu dwu epok. Fa-la historii z okrutną wyrazistością przybliży nam obraz ginącego świata, jakby chciała nas zmusić do zapamiętania na zawsze ohydy tego, co mija bezpowrotnie. Jednocześnie nowy świat nowej epoki powstaje z potęgających się wzajemnie wysiłków, poświęceń i bohaterstwa ludzi wszystkich narodów i ras.

Śmiercią Luala Ru ginący świat nie przysporzył sobie siły.

W Armii Ludu Malajskiego walczy dziś młodszy brat Luali.

W szkole im. Mao Tse-tunga w nieznanym Miejscu Postoju, w dżungli malajskiej kształci się przyjaciel Luali, Hindus Kisani.

Po umęczonym kraju malajskim krą-żą dalej wykładowcy Komunistycznej Partii Malai, tacy jak pierwszy nauczyciel Luali i Kisani, towarzyszy Czen Li.

Do nich należy przyszłość.

KONIEC



„URSUS” WYSUWA KANDYDATÓW

Na uroczystym zebraniu w dniu 18 września br. załoga „Ursusa” dokonała wyboru kandydatów na posłów do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Pierwszym kandydatem został jednogłośnie i entuzjastycznie wybrany przywódca Narodu, Wielki Budowniczy Polski Ludowej — Prezydent Bolesław Bierut.

W dalszym ciągu zgłoszono kandydaturę Wojciecha Brydzińskiego — zasłużonego artysty scen polskich, Władysława Katuszewskiego — 12-krotnego przodownika pracy z „Ursusa”, członka egzekutywy Komitetu Fabrycznego PZPR i członka Wojewódzkiej Rady Narodowej, Ignacego Chudziaka — z Warszawskich Zakładów Wytwórczych Materiałów Elektrotechnicznych w Ożarowie, Jana Janiczaka — ZMP-owca z Zakładów im. 1 Maja w Pruszkowie, który pierwszy w województwie wykonał zadania Planu 6-letniego, oraz Jana Ptaszka — rolnika z Grójeckiego, wzorowo wywiązującego się z obowiązków wobec państwa.

A oto w kilku słowach, kim jest kandydat Zakładów Mechanicznych „Ursus” — Wła-



Władysław Katuszewski; przyjmuje gratulacje od kolegów

dysław Katuszewski. Rozpoczął on pracę w „Ursusie” na oddziale odlewniczym jako 16-letni chłopak, syn robotnika. Od najmłodszych lat poznał nędzę robotniczego życia w ustroju, w którym nie dla wszystkich starczyło pracy i chleba, w którym żyło się bez nadziei na lepsze jutro. Do roku 1939 pracował jako formier, a później jako rzemieślnik. Powołany do wojska w chwili najazdu hitlerowskiego na Polskę, dostaje się do nie-

woli. Po roku wraca do Zakładów. W roku 1943 wstępuje w szeregi Armii Ludowej, aresztowany przez gestapo dostaje się do Oświęcimia. Gdy nadeszło wyzwolenie, jako jeden z pierwszych zostaje członkiem Polskiej Partii Robotniczej. Do roku 1947 jest kolporterem prasy partyjnej, później znów wraca do „Ursusa”. Awansuje na majstra. Ofiarną, rzetelną pracą daje dowody miłości i przywiązania dla Ludowej Ojczyzny.

Jest 12-krotnym przodownikiem i dwukrotnym racjonalizatorem. Został odznaczony Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

Ponieważ całe życie Władysława Katuszewskiego to walka o lepsze jutro ludzi pracy, załoga „Ursusa” jest pewna, że w pracy swej jako poseł nie będzie szczędził sił dla dobrej klasy z której wyrósł, dla dobrej Polski i Narodu.

Wybierając najlepszych synów klasy robotniczej na posłów do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej załoga „Ursusa” jeszcze mocniej zespoliła się wokół Programu Wyborczego Frontu Narodowego.

Eugeniusz Zieliński, Ursus

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Zygmunt N. — Łódź: Nadesłany przez Was artykuł wykorzystaliśmy w numerze 59 na kolumnie „Nasi fotokorespondenci donoszą”. Prosimy o współpracę.

Janina Stolarzewicz — Żywiec: W sprawie nabycia literatury Wojeńskiego i innych opracowań literatury polskiej należy zwrócić się do któregoś z licznych antykwariatów w Krakowie.

Joanna G. — Katowice: Wierszy nie zamieścimy.

SPROSTOWANIE

W związku z fotokorespondencją Wł. Borkowskiego zamieszczoną w numerze 35 (59) z 7 bm. wyjaśniamy, że sztuka B. Ławreniewa „Za tych co na morzu” została wystawiona przez Zespół świetlicowy Spółdzielni Pracy Kuśnierkiej „Kuśnierz” w Łodzi w reżyserii Marka Okopińskiego, a nie, jak podano: przez zespół łódzkich pracowników przemysłu kuśnierskiego, w reżyserii Marka Skapińskiego.

WYCHOWAWCA

Panie Redaktorze. Każdemu z wczasowiczów pozostaje jakieś silne przeżycie, związane z miejscowością, w której odpoczywał. Jeśli idzie o mnie, najsilniej upamiętniło mi się — niestety — spotkanie z chuliganami.

Byłem w Ustce, która słynie z pięknej plaży. Tuż za nią w odległości 50 metrów od morza uroczysko pokryte są zagajnikami z karłowatych sosien. Czasami tylko wystrzela z nich grupa bardziej okazałych drzew. Kto był w Ustce, zna ten piękny zakątek, pełen ciszy i spokoju.

Jednak podczas ostatniego turnusu sierpniowego rozległ się na wydmach stukot siekiery. Młodzież jednej z kolonii pod kierownictwem wychowawcy zapamiętała odra-
bywała konary, a w końcu ścięła również 10 zdrowych sosien o wysokości 5 metrów. Kiedy wychowawca polecił ściąć najpiękniejszą sosnę, do sprawy włączyli się wczasowicze.

— Nie wolno ścinać drzew



Ten w koszulce z siekierą w ręku to właśnie kierownik z Mogiła

na wydmach — zawołali oburzeni.

— To nie wasze sprawy — odpowiedział dosłownie wychowawca, własnoręcznie zrabując drzewo.

— Zawołamy WOP — zagrozili wobec tego wczasowicze.

— Proszę bardzo — powiedział wówczas wychowawca, lecz gdy jedna z pań rzeczywiście udała się po żołnierza z ochrony pogranicza, uciekł od zwalonej sosny i dzieci pozostawił same. Przyszedł natomiast kolega tego wychowawcy.

— Dobrze, że przychodzący obywateli — powiedzieli wczasowicze — te dzieci zostały wprowadzone w błąd, ścinały drzewa, które znajdują się pod ochroną. Prosimy o nazwisko ich wychowawcy.

— Nie znam go.

W czasie tej rozmowy udało mi się po aparat fotograficzny, słysząc jak kolega wychowawcy krzychał: — Antek, Marek, Józek, bierzcie chłopaków i zmykajcie! — Gdy powróciłem, dzieci istotnie już

nie było, ale udało mi się jeszcze wziąć na obiektyw kolegę wychowawcy. Tej okoliczności zawdzięczam, że wkrótce powrócili wszyscy krzyżując: — Małpy wczasowe, idioci! Teraz pokażemy tym starym durniom! Oddajcie aparat!

Główny winowajca, ten, któ-

ry własnoręcznie ścinał drzewa, również zagroził WOP-em: — Czy wiecie kim jestem? — wołał i po efektownej przerwie dorzucił: — kierownikiem szkoły w Mogilinie!!!

Wywiązała się długa dyskusja, w czasie której dzieci, chytrze pouczone przez pana kierownika z Mogiła, odtransportowały gdzieś drzewo, lecz zdążyłem zrobić drugie zdjęcie. Dopiero teraz kierownik z Mogiła pokazał pismo, wydane przez miejscowe nadleśnictwo. Zezwalało ono tylko na zebranie dwóch furmanek cienkiego chrustu.

Spójrzcie na zdjęcie, czy to jest chróst cienki?

Panie Redaktorze! Posiadam świadków, którzy zawsze gotowi są potwierdzić prawdziwość podanych przeze mnie faktów. Uważam, że niszcyciel przyrody powinien być ukarany, zwłaszcza że uczył dzieci łamania przepisów, na co kompetentne władze w Ustce nie zareagowały.

Jan Nogaj, Katowice



NISZCZEJA SZCZĄTKI PIASTOWSKIEGO ZAMKU

Przechodnia, idącego koło Zamku Piastowskiego w Legnicy, dziwi i zastanawia, dlaczego zamek ten, zniszczony przez hitlerowców, stoi dotychczas zaniedbany, dlaczego nikt nie zainteresuje się, aby przynajmniej to, co jeszcze zostało, ochronić i zabezpieczyć.

Czy naprawdę nikomu nie zależy na starym zamku i basztach, pamiętających jeszcze czasy Piastów na Śląsku? Czy nikt nie zadba o mury, które przetrwały niejedną zawieruchę wojenną i są pamiątką nie tylko starej, słowiańskiej architektury, ale i częścią historii polskości Ziemi Legnickiej?

Prezydium MRN ograniczyło się do zrobienia mocnych drzwi, aby nikt nie dostał się na teren dziedzińca zamkowego.

Od Prezydium Miejskiej Rady Narodowej można by się jednak spodziewać lepszej opieki nad zamkiem — przecież gdyby zabezpieczyć niszczące baszty i mury obronne, gdyby całkowicie odbudować Zamek Piastowski, mogła by tam znaleźć pomieszczenie jakaś szkoła lub inna instytucja.

Jeśli MRN w Legnicy nie posiada funduszy na odbudowę zamku, powinna zwrócić się do Ministerstwa Kultury i Sztuki, które na pewno coś na to poradzi.

Eugeniusz Berdys, Legnica



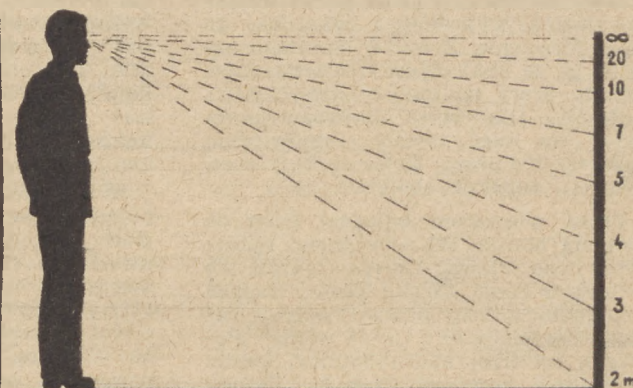
Ruiny Zamku, widok na baszty obronne

FOTOGRAFIA NA CODZIEN ODLEGŁOŚCIOMIERZE

Wielu naszych Czytelników posiada aparaty bez wbudowanego w nie odległościomierza, jak np. aparat „Weltax”, „Retina I”, „Leica-Standard” i popularne aparaty skrzynkowe. Wiemy, ile wtedy kłopotu sprawia amatorowi właściwe oszacowanie odległości, mające decydujący wpływ na ostrość naszego zdjęcia. Podajemy więc poniżej dwa proste sposoby pomiarów odległości, zastępujące nam odległościomierz.

Pierwszy — to zwykły sznurek, z zawieszonym na końcu ciężarkiem, od którego kolejno mierzymy i oznaczamy (można tu użyć małych blaszek z wyrzniętymi na nich cyframi) odległości: 1 metr, — 1,25 — 1,5 — 1,75 — 2 — 2,5 — 3 metry. Ten prosty „instrument mierniczy” odda nam nieocenione przysługi. Ciężarek kładziemy tuż obok fotografowanego obiektu, sznurek lekko naciągamy przy samej ziemi aż do punktu, nad którym znajdować się będzie aparat i na blaszce czy kartoniku odczytujemy odległość, którą nastawimy na podziałce naszego aparatu.

Drugi sposób jest już bardziej skomplikowany, lecz za to bardziej zbliżony do „prawdziwego” odległościomierza. Sposób ten oparł się na zasadzie, iż każdy człowiek ma wycucie



równowagi i wyznaczyć może mniej lub więcej dokładnie linie poziomą i pionową.

Dla skonstruowania naszego odległościomierza bierzemy łaskę, którą trzymamy pionowo na długości wyciągniętego ramienia. Górny koniec naszego pręta ustawiamy dokładnie na linii horyzontu. Poprzednio, w odmierzonej ściśle odległości 2 metrów od połowy długości prawej stopy, kładziemy patyk, kij trzymaliśmy pionowo i nie poruszaliśmy się podczas tych manipulacji, nasz „odległościomierz” wyskalowany jest już na „nieskończoność” i odległość 2 m.

Dalsze podziałki wyznaczamy w następujący sposób: mierzymy uzyskaną odległość od końca kija, oznaczającą nieskończoność, do podziałki 2 m, mnożymy przez 2 i rezultat dzielimy kolejno przez 3, 4, 5, 7, 10 i 20. Ilość centymetrów, która nam wypadnie z dzielenia, odmierzymy kolejno od górnego końca kija, robimy nacięcia i otrzymujemy podziałkę metrową 3 — 4 — 5 — 7 — 10 — 20 metrów.

Jeżeli chcemy teraz zmierzyć odległość dzielącą nas od fotografowanego przedmiotu czy osoby, wyciągamy ramię z naszym odległościomierzem, ustawiamy górny koniec pręta na wysokości horyzontu i w wyobraźni przeprowadzamy linię od stóp fotografowanej osoby do naszego oka. Na przecięciu się tej linii z naszym kijem, odczytujemy właściwą podziałkę odległości.

Dokładność tego prostego przyrządu jest całkowicie wystarczająca dla naszych celów. Oczywiście, podziałka naszego odległościomierza jest dostosowana indywidualnie do fotografującego, a ściśle do jego wzrostu. Kij czy łaska muszą być trzymane pionowo, zawsze w ten sam sposób. Nasz przyrząd pomiarowy działa tylko w terenie płaskim.

Kolega wychowawcy kpił ze mnie, gdy robiłem zdjęcie



DOROCZNY TARG NA DZIECI

AUTOBUS zatrzymuje się nagle. Przystanek w Benevento. Podróżni wysiadają pośpiesznie na topiący się asfalt spieczony słońcem ulicy. Brną odważnie przez żar, porwani falą dźwięków i ludzi idących na plac przed kościołem. Tutaj stłoczeni stoją chłopcy z Tocco Caudio, Vitulano, Paduli, bezrobotni z San Giorgio, Castelfranco, Adriano, drobni dzierżawcy z Montesarchio, Savignano, Montefalco, mieszkańcy odległego Salerno, Cosenza i Taranto. Ich spalone południowym słońcem twarze, wysuszone, stwardniałe mięśnie, występują wyrazicie na tle szarych murów katedry.

Mały Mario ściga szybko koszulę. Szorstkie palce nabywców taksują go sprawnie. Opadają na biodra, błędzą po ramionach, szczypią mocno, do bólu, niedożywione ciało. Chłopiec z trudem hamuje łzy. Otwiera jednak posłusznie usta, by na żądanie zgromadzonych pokazać uzębienie. Bola go jeszcze trochę dziąsła. Przed kilku dniami ojciec wyrwał mu dziurawy ząb, najmniejszy bowiem „defekt” jest przeszkodą w zawarciu transakcji. Mario wie, że cała rodzina pokłada w nim nadzieję. Jeśli targ nie dojdzie do skutku, nie będą mieli co jeść. Uśmiecha się bohatercko i podnosi wysoko ciemne stopy. Administrator spod Marcone — przygląda się uważnie. Chłopak ma wprowadzić dopiero 8 lat, ale do pasania bydła można go będzie wykorzystać. Chodzi tylko o cenę.

Ojciec Maria, Antonio, jest od przeszło roku bezrobotny. Majątek, w którym pracował, został oddany Amerykanom na lotnisko. Antonio chodził wszędzie, szukał, błagał i prosił. Na próżno. Od gorzkiej, dzikiej cykorii, którą się żywili od miesięcy, dzieciom posiniały usta.

Cena na chłopców w wieku 10—12 lat waha się od trzech tysięcy lirów i jednego kwintala zboża do 6 tysięcy lirów i 4 kwintali. Młodszych można dostać taniej. Dzieci wynajmuje się na przeciąg jednego roku, z tym, że stają się one faktycznymi niewolnikami swego nowego pana. Pracują, w zależności od potrzeb gospodarstwa, 14 do 18 godzin na dobę, dostając jako jedyne pożywienie trochę chleba i talerz makaronu. Rodzice świadomi są warunków na jakie skazują synów, w obliczu jednak grożącej śmierci głodowej nie mają wyboru.

Mario czeka z drżeniem na decyzję. Ojciec stara się wyciągnąć jak najwięcej, boi się jednak stawiać zbyt wygórowane żądania, by nie zniechęcić amatora. Wreszcie dobijają targu! 5 tysięcy lirów bez zboża.

Otoczony zwartym tłumem widzów Ciro Chiodini uskarża się głośno: „Patrząc ludzi, za takich dwóch samczyków kawaler Petruccio chce dać tylko 8 tysięcy”. Poczem rzuca: „Chłopcy, pokażcie, co umiecie!”. Chłopcy na wezwanie poczynają mocować się ze sobą. Zapał walki porywa ich jednak naprawdę, tak, że obojętny popis przekształca się szybko w gwałtowną bójkę. Ludzie rozdzielają walczących. Pewnie, 8 tysięcy to bardzo mało. Trudno jednak znaleźć kogoś, kto wzięby obydwu, a ojciec woli nie rozdzielać synów. Niech przynajmniej będą razem.

Stara Annuziata zawodzi żałośnie. Marcuccio pewnie już nie wróci, Annuziata czuje to, wie. Chłopak wbrew jej woli postanowił pójść na targ do Benevento. Biegła za nim całą drogę, płacząc i prosząc. Nie pomogło. Marcuccio chce jeść. Chce też pomagać babce. Marcuccio jest bardzo piękny. Jego ciemne aksamitne oczy są pełne wilgotnego blasku i złotych, roztańczonych iskier. Czarne włosy miękkimi lokami opadają na czoło. Zgrabne, smukłe nogi i zwinne kocie ruchy dopełniają całości.

Przechodzący obok mężczyzna zatrzymał się jak urzeczony. Potem przystąpił do staruszki. Poszukuje służącego. Musi być szybki, chętny, usłużny. Annuziata podnosi żalną swą skargę: „Marcuccio, non andare” — nie odchódź. Instynktem wiedząca rozumie. Nie może jednak rzucić w twarz wiel-

możnemu panu oskarżenia. On przecież szuka służącego. Tylko służącego.

Z kościoła wysypuje się ciżba; księża, zakonnice, wierni suną wolno w kierunku zacisznych domów. Targ również dobiega końca. Zawarto ponad dwieście transakcji. Co chwila ze zbitej masy odrywa się dostatnio ubrany mężczyzna. Za nim, oglądając się niepewnie za siebie idzie ze spuszczoną głową chłopiec. Rodzice czas jakiś towarzyszą mu z daleka. W spojrzeniach ojców czai się tragiczny smutek, ale też... i odrobina nadziei. Jego syn znalazł pracę. A on...?

Rynek pustoszeje. Tylko na krawędzi chodnika siedzi, zawadząc cicho, Annuziata. Na jej kolanach leżą banknoty rzucone niedbale przez pana. Marcuccio odszedł. Nie wróci już, nie wróci nigdy.

Postępowe organizacje społeczne od dawna już walczą, by barbarzyński zwyczaj targu na dzieci został nareszcie zniesiony. Chadecki prefekt Benevento obiecał ustosunkować się pozytywnie do tej sprawy i... przenieść targ do któregoś z pobliskich osiedli, żeby nie rzucał się zbyt w oczy cudzoziemcom.

Targ w Benevento jest „dobrze zorganizowany”. Tu, gdzie przybywają tysiące ludzi z różnych stron, wszystko powinno iść „jak należy”. I tak już dosyć przykrości mają miejscowe władze ze strony lewicy i wciśbiskich, wsędobylskich dziennikarzy. Istnieją jednak miejscowości, w których handel dziećmi rozwija się swobodnie przynosząc poważne zyski „pobłażliwym” komisarzom policji. Na przykład w Cesi, Valvoli, Valrotonda, Valleluce, Cassina-

te. Tam wprowadzić widuje się rzadko zamożnych, porządnie ubranych kupców, ale za to nie obowiązuje zasada rocznego wynajmu. Dzieci po prostu się tu kupuje. Większość nabywców stanowią żebracy, właściciele małych cyrków, złodzieje, rozmaici kombinatorzy. Przyjeżdżają oni na Południe co rok, by wybrać sobie odpowiedni „towar”. Szczególnym popytem cieszą się małe, jasnowłose dziewczynki, będące dobrą przynętą dla „tkliwych, litościwych dusz”. Poszukiwani też są chłopcy ułomni, ale dość silni, by znieść trudy wiecznej włóczęgi; dość odporni, by drząc z zimna w dziurawych łachach nie zapadali na zdrowiu; dość mali, by nie potrafilili sami poradzić sobie w obcym terenie, a tym samym, by pokusa ucieczki nie miała do nich dostępu. Dzieci te, wynajęte na kilka lat, nie wracają zazwyczaj do domu. Nawet gdy podrosną, nie umieją w labiryncie gór i miast odnaleźć swojej wioski, zwłaszcza jeśli wielokrotnie zmieniają właściciela.

Tomasso Sambucco miał szczęście. Nie umarł w czasie wędrówki po północnych Włoszech. Przeżył wiosnę, lato, jesień i zimę, żebrząc pod nadzorem surowego „padrone”. Jako „oblatany”, został odprzedany za 10.000 lirów pewnemu „mistrzowi” w zawodzie złodziejskim. Musiał żebrać, koncentrować na sobie uwagę ofiary, którą „mistrz” tymczasem „oporażdał”, a później, w razie potrzeby, uciekać przed okradzionymi ludźmi i policją.

Sambucco nie jest prawdziwym nazwiskiem chłopca. W rzeczywistości nazywa się on inaczej. Prosił o zachowanie tajemnicy, dziś bowiem jest uczciwym człowiekiem. Opuuszczony przez



— Czy znajdzie się nabywca? Matka świadoma jest na jakie życie skazuje syna, ale w obliczu śmierci głodowej nie ma dla niej żadnego wyboru.

„padrone” w chwili groźnego niebezpieczeństwa, zdołał ująć przed pościągą i schronić się w jednej z kolonii prowadzonych przez demokratyczny Związek Kobiet Włoskich. Zrobili z niego człowieka — dostał pracę. Takich, jak Sambucco, jest jednak niewiele.

Nędza południowych okręgów włoskich pogłębia się z roku na rok. Spada wyraźnie wskaźnik zatrudnienia, likwidowany jest systematycznie przemysł lokalny, cofa się kredyty przyznane na roboty publiczne. Kosztem w ten sposób zaoszczędzonych sum, rząd pokrywa narzucone przez Amerykę wydatki na zbrojenia. Waszyngton usiłuje przekształcić cały kraj w jeden wielki targ niewolników.

JADWIGA PASENKIEWICZ



Na dorocznym targu dzieci w Benevento cena na chłopców wynosi od 3 do 6 tysięcy lirów z dodatkiem kilku kwintali zboża. Za tę cenę wynajmuje się ich na przeciąg jednego roku, z tym, że stają się faktycznymi niewolnikami swego pana.

DROGOWSKAZY TURYSTYCZNE



W LUTYM Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze po raz pierwszy w dziejach naszego sportu zimowego zorganizowało masowy raid narciarski przez Beskidy, Gorce i Tatry. Na starcie stanęło 2232 uczestników, młodzież, robotnicy i pracownicy umysłowi z Wrocławia, Krakowa, Łodzi, Warszawy i Poznania. Z wyjątkiem Związku Radzieckiego są to liczby nigdzie nie spotykane, nawet w krajach bardziej zaawansowanych w turystyce i sportach zimowych.

Jest to jeden tylko z licznych przykładów żywiołowego rozwoju turystyki w Polsce Ludowej. W okresie międzywojennym, jak wszędzie w ustroju kapitalistycznym, środki komunikacji, hotele, domy wypoczynkowe, nie były dostępne dla robotników i ich rodzin, turystykę uprawiała wtedy elita burżuazyjna, rozporządzająca odpowiednimi środkami pieniężnymi. Dziś wszystkie te trudności dzięki przeobrażeniom politycznym kraju raz na zawsze zostały usunięte, a dalszy rozwój wczasów, uzdrowisk, urządzeń sportowych, w tym również turystyki, gwarantuje 3 punkt 59 artykułu Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

W tej sytuacji szczególnie ważna rola przypada informacji, gdzie, kiedy, w jakich warunkach można się udać na dłuższe lub krótsze wycieczki krajoznawcze. Zadanie to podjął Spółdzielczy Instytut Wydawniczy „Kraju”, który od kilku już lat rozwija ożywioną akcję wydawniczą, nie dość jednak znaną w szerszych kręgach społeczeństwa. Warto więc ją przypomnieć, choćby z tego powodu, że każdy z naszych Czytelników już wkrótce stać się może zapalonym turystą. Rodzaj zaś turystyki, teren, czas wycieczki najkorzystniej ustalić właśnie po zapoznaniu się z wydawnictwami „Kraju”.

Najogólniejszym informatorem jest wśród nich ilustrowany przewodnik „Wczasy, Uzdrowiska, Turystyka”, który pozwala na szybkie zorientowanie się „w całokształcie zagospodarowania terenowego, położenia geograficznego, zabudowy, właściwości zdrowotnych i leczniczych oraz możliwości wycieczkowych i sportowych przeszło dwustu miejscowości górskich, nizinnych i nadmorskich”. Walery Goetel stwierdził w miesięczniku „Turysta”, że nasi wycieczkowicze kierują się przeważnie na „wybrzeże i w góry, gdzie pociągają ich odrębność i piękno krajobrazów. Należy jednak pamiętać o tym — pisał — że na obszarze całej Polski znajdują się regiony, których zwiedzenie daje niezapomniane bogactwo wrażeń”. Wspomniany przez nas ilustrowany przewodnik stara się właśnie zwrócić uwagę i na te inne możliwości turystyczne z dala od utartych już, popularnych szlaków.

Ale szczególnie dobrze spełniają to zadanie opisy krajoznawcze, podawane w seryjnych tomikach „Popularnej Biblioteki Krajoznawczej”, oraz ilustrowane przewodniki „Biblioteki Turystycznej”. Znajdziecie wśród nich wiele informacji o tak małych miejscowościach, jak Spała, Inowłódz, Tomaszów, Bażantarnia Elbląska, Warka, Winiary, Nowa Wieś. Wczytując się

PTTK PTTK PTTK PTTK PTTK PTTK PTTK PTTK PTTK PTTK

w teksty tych przewodników, z każdą nową stroną utwierdzamy się w przekonaniu, że w miarę możliwości poznawać należy całą Polskę, że w mniej znanych stronach znajdujemy wiele ciekawych obiektów historycznych, żywe tradycje oryginalnej kultury ludu, rezerwy przyrody. A co najważniejsze, w Polsce dzisiejszej powstają całkiem nowe obiekty turystyczne, jak odbudowująca się i zmieniająca swe oblicze Warszawa, jak Nowa Huta, tysiące szkół, Państwowe Gospodarstwa Rolne i spółdzielnie produkcyjne. W krajobraz przetransformacji twórcza praca człowieka, zmienia go, nadaje mu nowy sens. Nic więc dziwnego, że powstał też nowy typ przewodnika po terenach przemysłowych.

Z tych samych powodów zmienia się treść licznych albumów turystycznych, opartych prawie wyłącznie na materiale fotograficznym. Obok pięknych zdjęć widoków i zabytków mamy tu również zaznaczone przemiany, jakie w kraju naszym zachodzą, a więc umasowienie wczasów, lecznictwa zdrojowego, rozwój świetlic, nowe budownictwo. W albumach tych widzimy przy pracy górników, hutników, robotników, chłopów, a zdjęcia obiektów przemysłowych walczą o lepsze z najpiękniejszymi widokami gór.

Szczególnie godna jest wspomnienia najnowsza inicjatywa wydawnicza „Kraju”, popularne broszurki propagujące wycieczki i wczasy jednodniowe z większych ośrodków przemysłowych w ich okolice. Ta forma wypoczynku niedzielnego nie jest jeszcze należycie rozpowszechniona, choć przynosi pożytek, słońce, ruch, nowe przeżycia, pobudza do nowych zainteresowań, rozszerza wiadomości o regionie, który zamieszkujemy i o osiągnięciach jego mieszkańców. Być może, na przykładzie rozwoju wycieczek i wczasów jednodniowych, stał brak wyczerpujących informacji o bliższej i dalszej okolicy naszych największych miast. Na przykład w powszechnej opinii Mazowsze uchodzi za teren najmniej atrakcyjny w całej Polsce, ale wystarczy przeczytać broszurę Mieczysława Orłowicza, obejrzeć dwie załączone do niej mapki, aby przekonać się, jak błędne było to mniemanie. Mamy do wyboru okolice Wkry, dolinę rzeki Liwca, brzegi Bugu-Narwi, Puszcze Kampinoska, rezerwat modrzewia w Małej Wsi, glazy narzutowe, ogromny dąb w Ernowie, ośrodek weekendowy w Zakroczymiu, osobliwości etnograficzne, nie licząc wielu zabytków sztuki, muzeów Żelazowej Woli, Otwocka Wielkiego i Wilanowa.

Na tych, bądź co bądź drobnych wydawnictwach nie wyczerpuje się jednak praca „Kraju”, podejmuje on i poważniejsze zadania wydawnicze, z których największymi są jak dotąd — w kilku językach wydana duża, informacyjna książka o Polsce dla cudzoziemców i monografia Krakowa. Oba wydawnictwa należą do poważnych osiągnięć naszego rynku wydawniczego. Piękny papier, staranny druk, zdjęcia najwybitniejszych fotografów czynią z nich cenne pozycje każdej biblioteki.

Próżno szukać będziemy w naszej przeszłości podobnego przedsięwzięcia. Nie znaczy to bynajmniej, że „Kraj” zaspokoili już wszystkie nasze potrzeby w dziedzinie wydawnictw krajoznawczych, przeciwnie, jest od tego jeszcze daleko, gdyż jego zadanie nie wyczerpuje się ani na opisie krajoznawstwa, ani na opisie zabytków. Ma on ująć w formie ilustrowanej książki Polskę żywą, Polskę, która się dopiero tworzy, a jest to tematyka niewyczerpana, jak niewyczerpana i niezmierzona jest energia naszego odrodzonego narodu, która stwarza nową rzeczywistość.

TADEUSZ SARNECKI



NASZ ŻYRARDÓW

Dokończenie ze str. 7

dowski jubileusz — nie zdołano przemilczeć żyrardowskiej doliny: bezrobocia, nędzy bezmiernej, wyzysku młodocianych, wzrastającej przestępczości, prostytucji, gruźlicy. Obłudnie intonowała chorągiew protestu prasa sanacyjna, fałszywe gromy oburzenia ciskała „oficjalna opinia”. Pisano artykuły i memoriały, układano statystyki, gromadzono dokumenty, uderzano na przemian w struny oburzenia i litości. Najtroskliwiej jednak chroniono od ciosu głównego sprawcę zbrodni: burżuazję polską, która darowała Żyrardów francuskim grabieżcom. Zresztą koła sanacyjne dyrgowały później sprytnie ową orkiestrą pozornych buntowników. Rozgrywką przeciw francuskiej i profrancuskiej grupie kapitalistów kierowała przyczajona za węglem prohitlerowska grupa kapitalistów. A pod kłamliwym, demagogicznym apelem o litość dla żyrardowskich mieszkańców czaiło się drapieżne dążenie kapitalistycznych łapowników i rekinów: za wszelką cenę utrzymać swój stan posiadania, by w dalszym ciągu i to co cesarskie i to co boskie zagarnąć... dla siebie.

KSIAŻKA PATRZĄCA LECZ NIE WIDZĄCA

Na stronicach książki pt. „Mój Żyrardów” Paweł Hulka-Laskowski wywołał:

„Od czasów uniwersyteckich interesowałem się specjalnie filozofią i religią. Do ogarnięcia całokształtu życia społeczno-gospodarczego brakło mi zainteresowania, a może zdolności. Marx był dla mnie lekturą trudną i niezrozumiałą. Ale nagle ujrzałem hierarchię kapitalistyczną tuż przed oczami: Waśkiewicz, Koehler, Boussac... Pakiet akcji przechodzi z rąk do rąk i nagle człowiek, który przy pomocy machinacji giełdowych i fałszywej przysięgi zdobywa miliony, staje się panem losu ludności żyrardowskiej. Apartament za milion, urządzenie mieszkania za pięć milionów, trzy Rolls-Royce, wspaniałe zbiory, diva opery paryskiej jako przyjaciółka... Takie to dziwne: do roku 1914 nie miał nic, o Żyrardowie może nigdy nawet nie słyszał, na dostawach wojennych „dorobił się majątku”, ku-

pił sobie akcje... A tymczasem ludzie, którzy z dziada-pradziada siedzieli w tym mieście, budowali je na fundamentach swej nędzy i wyrzeczeń, na gruźlicach, rapturach, na tysiącach nieszczęśliwych wypadków i nagłych śmierci w trybach maszyn, stają cię niczym, dodatkiem do maszyn, budynków, wielkich placów, domów mieszkalnych, pałaców, will, parków...”

„Mój Żyrardów”, książka patrząca i rejestrująca — posiada wagę dokumentu. „Mój Żyrardów”, książka, szukająca sedna sprawy — ma ograniczone pole widzenia. Hulka-Laskowski widział zło — nie widział dokładnie jego sprawców. Dlatego własną dociekliwość pozostawił właściwie bez odpowiedzi i chybił celu w swoich argumentach. Atakował Boussaków — nie dostrzegając zbrodni polskiej burżuazji. Wskazywał przepaść, alarmował — lecz we mgłę i mrzonkach topił drogę wyjścia. Okopał się autor „Mojego Żyrardowa” na swoich, tylko właśnie swoich pozycjach, z których rozróżnić przeciwników było mu trudno. Samotnym protestem chciał przeobrażać rzeczywistość, intelektem obalać kapitał. Nie mógł więc jego Żyrardów być Żyrardowem świadomych robotników.

KANDYDACY

Ich Żyrardów walczył. Ich Żyrardów pomagał w boju Bolesławowi Bierutowi. A najdzielniejszy z uczestników owej boju znaleźli się dzisiaj na wspólnej liście wyborczej z Prezydentem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Oto kandydatka na posła z Zakładów Żyrardowskich, Stanisława Jodłowska. Pamięta służbę od dziesiątego roku życia. Pamięta ojca, murarza bez pracy, roboty przy drogach, walkę o chleb, walkę pod magistratem o prawa robotnicze, walkę wspólnie prowadzoną z towarzyszami w szeregach Komunistycznej Partii Polski. Pamięta, jak podczas okupacji zbierali się u niej członkowie Armii Ludowej, jak opowiadali, że rozszerza się ich front, że staje się frontem całego narodu. Nie zaprzestała walki ani na chwilę i toczy ją dalej po wyzwoleniu. Na początku szabrownicy okradali fabrykę, tkali swetry i bambosze na sprzedaż i pobili ją, gdy ich przed kierownictwem Zakładu zdemaskowała. Potem wrogowie Ludowej Polski zimną wodę wpuszczali do maszyn (a len potrzebuje wody gorącej), albo tak je ostrzyli, że szły zbyt prędko i niszczyły się materiał. Stanisława Jodłowska biła się z wrogiem, a cierpliwie

przekonywała tych, których zdołał on obalamucić. „Teraz — mówiła swym głosem monotonnym lecz stanowczym — trzeba nam coraz więcej produktów. Teraz — powtarzała nieustępliwie — musimy podnieść jakość. Teraz pracujemy dla siebie”. Przed trzema laty zorganizowała grupę ośmiu kobiet, obsługujących dwie maszyny równocześnie. Dziś rosną bezustannie kwalifikacje robotnic, a Stanisława Jodłowska ma coraz więcej towarzyszy walki.

Oto druga kandydatka na posła z Żyrardowa, Maria Stelmachowa. „Moja kariera — powiada z szerokim uśmiechem — zaczęła się od wyzwolenia. Dopiero Polska Ludowa oceniła moją pracę”. Maria Stelmachowa poznała także w swym życiu nędzę i strajki, redukcje i walkę. Dziś — mimo że jest wyuczonym majstrem — powołano ją do Miejskiej Rady Narodowej na wiceprzewodniczącą. „Mam najgorszy dział — oznajmia mi z żywym wciśniętym uśmiechem, kontrastującym z treścią oświadczenia — mieszkaniowy, ten... gdzie ludzie najwięcej narzekają. W tym roku dostaliśmy dodatkowe fundusze. Będzie można odrestaurować kilka wypalonych domów i pchnąć budowę wielkiego bloku”. „A wy sama — pytam — macie dobre mieszkanie?” „Znów uśmiech: „Nie bardzo, ale musi wystarczyć, aż wszyscy będą mieli lepsze”. Podchodzą do Marii Stelmachowej towarzyszy pracy, gratulują, całują. A ona powtarza tylko słowa, od których zaczęła swe przemówienie na trybunie: „Jestem niezmiernie, niezmiernie zadowolona...”

WYBIEGŁA Z DOMU WŁÓKNIARZA...

Wysunięto jeszcze w Żyrardowie kandydaty Ryszarda Strzeleckiego, Ministra Kolei („Jemu zawdzięczamy, że z Żyrardowa do Warszawy jedziemy koleją elektryczną”), Władysława Katuszewskiego, przewodownika pracy z „Urusa” („Chce on by do każdej gromady dotarły traktory i żniwiarki”) i Doroty Kłuszyńskiej, przewodniczącej „Towarzystwa Przyjaciół Dzieci” („Pragnie ona wychować dzieci na prawdziwych ludzi”). Obdarzono wszystkich kandydatów serdecznością i zaufaniem. Żądano, żeby — skoro zostaną wybrani — dobrze pracowali. Żeby było więcej nowych fabryk i nowych tkanin, mieszkań i kolei, szkół i traktorów. Wybiegła myśl przyszłych wyborców z Domu Włóknia. Szła ulicami czerwonego miasta, nie znającego dziś trwogi o chleb, wtargnęła do fabryk, wykonujących plany i wciąż głodnych siły robó-

czej, zawadziła o nowowyprowadzone hale, łaskawe dla ludzkiego oddechu, przyjrzała się maszynom radzieckim, ułatwiającym badanie farby, przemknęła obok licznych szkół, o jakich dawniej się nie śniło, obok nowego gmachu szpitala, obok złołka — dumy Żyrardowa, obok przedszkola i Domu Harcerza. A potem popędziła myśl przyszłych wyborców w przyszłość, w czasy, kiedy z Wiskitek, Korytowa i Radziejowic zniknie dziedzictwo nędzy, kiedy powstanie w Żyrardowie oczyszczalnia ścieków, fabryka nawozów i gazownia, kiedy urosną jeszcze ludzie i ich dzieła — i kiedy najmłodszy dziś majster Żyrardowa, Roman Gwiazda, zmieni zapewne swe obecne zdanie, iż praca i małżeństwo wykluczają się wzajemnie.

Budzi się oto w któryś z bliskich świątów czerwone miasto. Zapewniają się ludźmi fabryczne hale i szkolne izby. Terkocą krosna, krążą walce, tam i z powrotem wędrują członka. Rozdzwoniły się telefony i rozpadły po papierze pióra. Rozegrały się ludzkie ręce i mózgi. Antoni Gromek czesze właśnie len na poczet przyszłego planu. Janina Stańczykowa rozpoczyna pracę na sześciu krosnach. Dyrektor Zawadzki zaraża w rozmowie swym zapalem włóknia-rza-racjonalizatora. Stanisława Jodłowska powtarza komuś cierpliwie, że warto chwilowym wyrzeczeniem płacić za wielką przyszłość. Inżynier Demel pisze nową stronę pracy o barwnikach. Maria Stelmach dowodzi swemu rozmówcy, że zafacania wieków nie można usunąć w osiem lat i że mieszkanie przydzieli mu jak najszybciej, w miarę możliwości. Zetempówka Słojewska, pracująca na wielu warsztatach, opowiada koleżance o wrażeniach z Kongresu Ziemi Odzyskanych. Miejski sekretarz partii rozpatruje zebranie fabrycznej egzekutywy. Młody Roman Gwiazda zagrzewa do wysiłku młodego nowicjusza, mówiąc jak on sam bił się z rutyniarstwem niektórych starszych majstrów, jak pięścią walił w stół, raz nawet prawie płakał, lecz w końcu zwyciężył. A wieczorem, kiedy księżyc z trudnością przedziera się przez chmury jesienne, po mieszkaniach, tych już lśniących i tych jeszcze starych, patrioci agituja wszystkich ludzi czerwonego miasta za życiem, które tak bardzo się zmieniło, za przyszłością, której bać się już nie trzeba, i o której tyle rzeczy ważnych można wiedzieć już dzisiaj na pewno.

To n a s z Żyrardów walczy na n a s z y m froncie.

KAMILA CHYLIŃSKA

KONKURS

SWIAT

o tym wie!

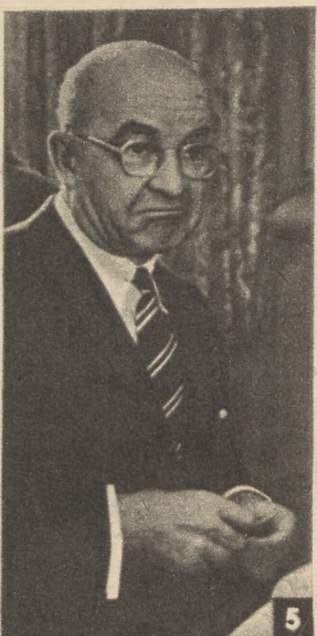
GANGSTER czy POLITYK?



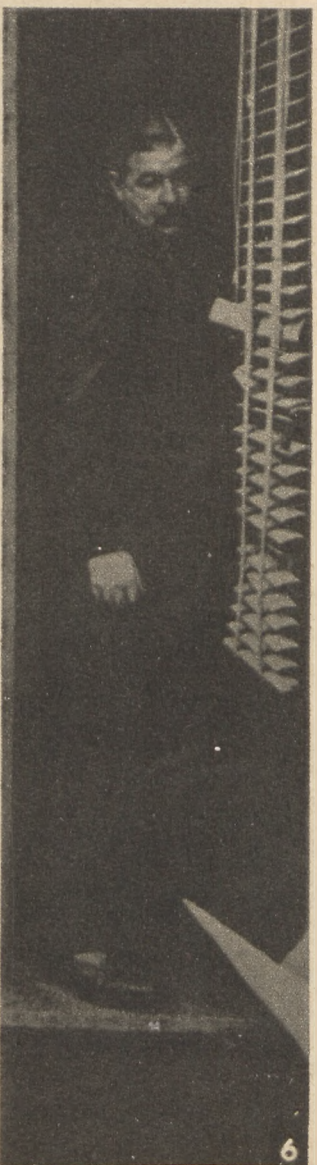
1



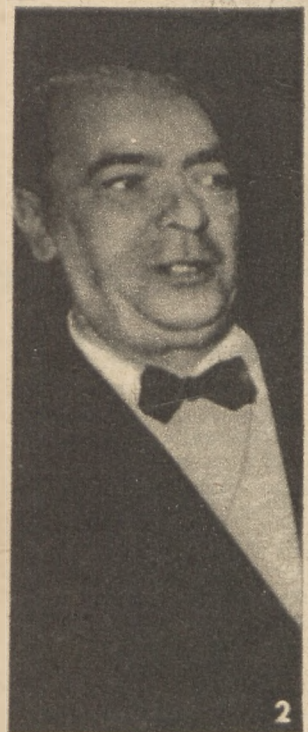
4



5



6



2



3

W redakcji nowojorskiego dziennika „Daily Advertiser” (Codzienny Awanturnik) panował sądny dzień. W przeddzień wyborów młody praktykant otrzymał polecenie wybrania zdjęć dziewiętnastu osobistości, według załączonej listy. Niedoświadczony młodzieniec pomieszał wszystkie zdjęcia i ani rusz nie mógł sobie poradzić z ustaleniem tożsamości poszczególnych postaci. Poradzono mu przeto, by najpierw dokonał podstawowej selekcji: pooddzielał gangsterów od polityków.

— To proste — tłumaczył redaktor. — Przecież pozna pan po fizjonomii, kto jest bandytą, a kto dżentelmenem.

Młody dziennikarz usiadł nad rozsypanymi zdjęciami i... rozplakał się. Zadanie było ponad jego siły... Najwięcej kłopotu przysporzyły mu zdjęcia zbiorowe. Pamiętał, że na jednym był (Nr. 13, 14) pewien polityk w towarzystwie gangstera, a na drugim trzy osoby (Nr. 7, 8, 9), co do których ani w żąb nie potrafił orzec czy należą ich uważać za bandytów, czy za dżentelmenów.

Może więc Czytelnicy „Świat o tym wie” potrafią przyjść z pomocą niefortunnnemu dziennikarzowi i wskazać, która z osobistości, uwidoczniionych na zdjęciach, jest gangsterem, a która politykiem.

Za trafne rozwiązanie redakcja przeznacz 20 nagród książkowych.

Prawidłowe rozwiązanie wymaga podania na kuponie, przy numerze odnośnego zdjęcia, czy mamy do czynienia z gangsterem, czy politykiem. Podawanie nazwisk jest zbędne.

A oto lista osobistości:

HARRY S. TRUMAN
RICHARD M. NIXON
THOMAS E. DEWEY
WILLIAM O'DWEYER
THOMAS F. MURPHY
JAY COOKE
VAIL PITTMAN
ESTES KEFAUVER
RUDOLPH HALLEY
HAROLD ROBINSON
MATTHEW RIDGWAY
FRANK COSTELLO
PHIL KASTEL
BONES REMMIER
SAM RINELLA
FRANK ERICKSON
JOE ADONIS
JIMMY CARROL
WILBUR CLARK

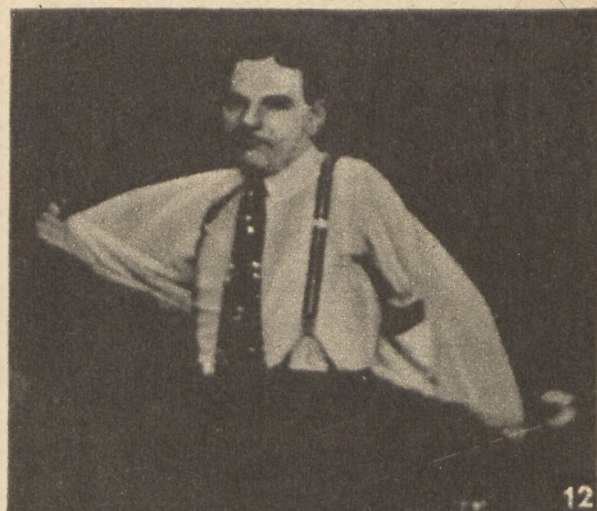
- Prezydent Stanów Zjednoczonych
- kandydat partii republikańskiej na wiceprezydenta
- gubernator stanu New York
- ambasador USA w Meksyku
- szef policji w Nowym Jorku
- kandydat partii republikańskiej na gubernatora st. Pensylwania
- gubernator stanu Nevada
- senator
- radca prawny komisji badania przestępczości w USA
- wyższy urzędnik FBI
- general-dżuma
- gangster, prezes „Syndykatu Zbrodni”
- jego najbliższy pomocnik
- gangster z San Francisco
- gangster z Chicago
- „król” totalizatora w Nowym Jorku
- gangster z Nowego Jorku
- gangster z St. Louis
- szuler z Nevady



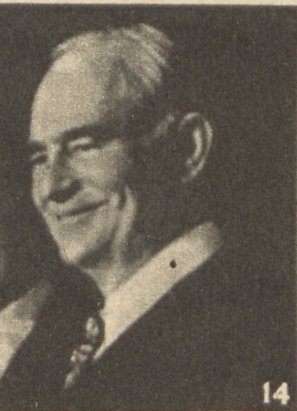
7

8

9



12



13

14



15

KUPON KONKURSOWY

1	11
2	12
3	13
4	14
5	15
6	16
7	17
8	18
9	19
10	



16



17



18



19



10



11

TEATR ŚWIAT

DYREKCJA I TEKST: J. SZELAŃG DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

DOWÓD RZECZOWY

SZTUKA SENSACYJNA W 3 AKTACH

Osoby: Komendant straży ogniowej
Tajemniczy nieznajomy
Strażak I
Strażak II

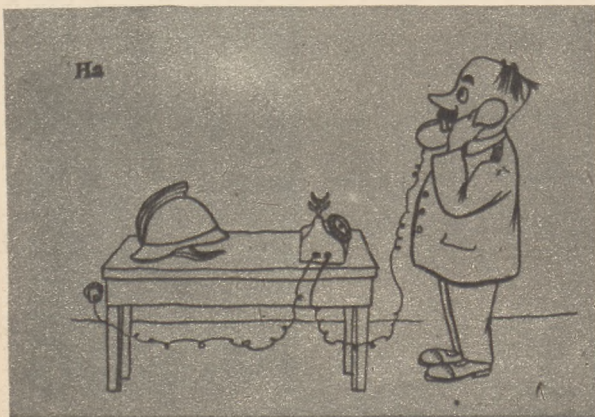
AKT I

Gabinet komendanta straży ogniowej.

KOMENDANT STRAŻY OGNIOWEJ (śpi na kanapie). Telefon (dzwoni).

KOMENDANT (zrywa się, podbiega do telefonu, podnosi słuchawkę): Tak jest! Słucham... Tak... Rozumiem... Tak jest... Natychmiast... Rrrrrroz-kaz... Cześć! (odkłada słuchawkę i dzwoni na alarm).

Wbiegają dwaj strażacy.



KOMENDANT: Aha, wy macie dyżur. To świetnie. Musicie natychmiast zmobilizować większą ilość mieszkańców naszego miasteczka. Z komendy dzwoni, że w okolicy pojawił się niebezpieczny podpalacz. Jest to albo wariat, albo coś gorszego. Musimy go przychwycić, zanim stanie się jakieś nieszczęście.

STRAŻAK I i II: Rozkaz, obywatelu komendancie (wybiegają).

AKT II

Ciemny zaułek miasteczka, noc bezksiężycowa i bezgwiazdna.

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY (skrada się).

STRAŻACY (śledzą go).

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY (milcząc obchodzi budynki, zagląda do stodół i komórek, uśmiecha się szatańsko na widok stogów siana. Pod pachą niesie plik gazet. Chyba żeby mu pomogły w rozpaleniu ognia).

STRAŻACY (krok w krok za Tajemniczym Nieznajomym).

TAJEMNICZY NIEZNAJOMY (schyla się, robi coś podejrzanego).

STRAŻACY (chwytają go za ręce): Mamy cię łotrze!

AKT III

Scena jak w akcie I

KOMENDANT STRAŻY OGNIOWEJ (do Tajemniczego Nieznajomego): Ty jesteś tym podpalaczem, który krąży po naszej okolicy?

STEFAN ARSKI

ŚRODOWISKO RDZENIE PRZESTĘPCZE

ZNAKOMITY pisarz amerykański, Mark Twain, stwierdził kiedyś:

„Można by zapewne wykazać statystycznie, że nie ma w Ameryce żadnego środowiska rdzenie przestępczego. Z wyjątkiem Kongresu”.

Gdyby Twain dożył czasów Trumana, zmieniłby prawdopodobnie pierwszą część tego twierdzenia. Co do Kongresu jednak — miał absolutnie słusność. Środowisko jest na wskroś przestępcze. A sprawa senatora Nixona zajmie w tabeli statystycznej, dowodzącej tego faktu, miejsce bardzo honorowe. Choć jest tylko jedną z tysięcy takich i podobnych spraw, które ozdabiają kartki historii parlamentaryzmu amerykańskiego, czyniąc z niej pierwszorzędną romans kryminalny.

Senator Richard M. Nixon wszedł do Kongresu jako reprezentant stanu Kalifornia. W nomenklaturze „Głosu Ameryki”, która jest czasem dobra, czasem zła, ale zawsze nieprawdziwa, senator Nixon nazywa się nawet reprezentantem ludu Kalifornii. Ale fakty podają w wątpliwość tę poetycką przenośnię. Zwłaszcza fakty ujawnione w dniach ostatnich. Bo wynika z nich, że senator Nixon reprezentuje w Kongresie Stanów Zjednoczonych zgola nikły odsetek ludu Kalifornii. Mianowicie kilku bankierów. Oni sami niezawodnie otrząsnęliby się ze wstrętem, gdyby ich kto do ludu próbował zaliczyć. Niemniej jednak panowie bankierzy z San Francisco postanowili zastąpić lud Kalifornii w żmudnym dziele wyboru przedstawiciela do senatu. Uczynili to w sposób prosty i powszechnie w Stanach Zjednoczonych praktykowany. Przy pomocy funduszu gadzinowego, który wyasygnowali do dyspozycji Mister Nixona w okresie poprzedniej kampanii wyborczej.

Mister Nixon ocenił wspaniałomyślność swych protektorów i po uzyskaniu mandatu senatorskiego, do czego w ogromnej mierze przyczyniła się właśnie hojna dotacja kalifornijskich bankierów, zaczął na terenie Waszyngtonu spełniać poważniejsze i drobniejsze poruczenia, zlecane mu przez uprzejmych mocodawców.

Mr. Nixon tak zasmakował w tych praktykach, że nie przestał czerpać z funduszy bankierskich nawet wtedy, gdy już został senatorem. I przez ostatnie dwa lata zasilil swą prywatną kasę okrągłą sumką szesnastu tysięcy dolarów. Co więcej. Senator Nixon, przekonawszy się, jak łatwo przy pomocy dolarów udało mu się zostać „reprezentantem ludu Kalifornii”, zapragnął w ten sam sposób zostać reprezentantem ludu pozostałych czterdziestu siedmiu stanów, tworzących łącznie unię zwaną Stanami Zjednoczonymi. I dał się wysunąć na kandydata partii republikańskiej na wiceprezydenta USA.

Nie trudno pojąć, jakim cudem senator Nixon dochrapał się tego stanowiska. Oto kiedy na konwencji partii republikańskiej w Chicago rozglądano się za odpowiednim człowiekiem, bankierzy kalifornijscy nie omieszkali poinformować swych kolegów z innych okolic kraju, a przede wszystkim z nowojorskiej Wall Street, o ogromnych zaletach senatora Nixona. Bierze pieniądze i robi to, co mu każą ci, którzy pieniądze dają. Widać poręka bankierów kalifornijskich była bardzo prze-

konywająca, skoro w zadymionym gabinecie pewnego hotelu chicagowskiego, gdzie kilku panów zdecydowało za całą konwencję, postanowiono Nixonowi powierzyć kandydaturę na wiceprezydenta.

Dość że senator Nixon znalazł się w szrankach walki wyborczej u boku generała Eisenhowera, a naprzeciwko pary Stevenson - Sparkman. W ringu wyborczym Ameryki nie obowiązują jednak zasady uczciwej fair play, lecz metody stosowane w popularnej walce wolno - amerykańskiej — catch as catch can — bij gdzie i jak możesz. Więc też para Stevenson - Sparkman zaaplikowała panu Nixonowi miazdzący cios. Ujawniła mianowicie całą aferę z szesnastoma tysiącami dolarów.

W partii republikańskiej zawrzało. Jeden z jej głównych przywódców, senator Taft, zaperzył się okrutnie. Nie rozumiem — oświadczył — czego ci demokraci chcą od Nixona. Przecież wszyscy republikanie i wszyscy demokraci robią dokładnie to samo, co on. Po prawdzie, trudno się dziwić, że wodzowie republikańscy uznali chwyt swych konkurentów za niełojalny. Wszak cała partia demokratyczna jest przeżarta korupcją, a nie kończące się pasmo skandali i afer, toczących administrację trumanowską, dowodzi, jak bardzo krzyk wokół sprawy Nixona przypomina stary, złodziejski trick „łapać złodzieja”.

Ale i złodzieje z partii demokratycznej mają swoją rację, by się oburzać. Wszak partia republikańska wystartowała do kampanii wyborczej pod hasłem „Precz z korupcją!” I oto na samym wstępie taka wsypa z kandydatem Nixonem.

Słowem, raz jeszcze wyszło na jaw, że obie partie burżuazyjne są na wskroś skorumpowane. I mechanizm polityczny Stanów Zjednoczonych został raz jeszcze obnażony: za kulisami wielkiej szopki politycznej, zwanej kampanią wyborczą, tkwią wpływy wielkiej finansjery, która swymi dotacjami i subwencjami nadaje bieg wydarzeniom. Łapówki zaś pobierane przez polityków z obu partii burżuazyjnych są głównym motorem ich sukcesów i karier.

Oburzenie więc demokratów, iż republikanin Nixon jest łapownikiem, jest typowym przykładem purytańskiej obłudy. Takim samym, jak perfidny krzyk republikanów, iż zamierzają wymieść brudy z waszyngtońskiej stajni Augiasza. Jeżeli złodziei Trumana ścigać ma łapownik Nixon, to widowisko może być bardzo zabawne, ale rezultaty więcej niż problematyczne.

I nikt w gruncie rzeczy w całej Ameryce nie oczekuje, by zmiana administracji demokratycznej na republikańską miała w jakimkolwiek stopniu wpłynąć na zmniejszenie się korupcji, nadużyć, złodziejstwa i gangsterstwa w USA. Co najwyżej hersztów jednej szajki zastąpią hersztowie drugiej.

Z uczciwością w polityce jest w Ameryce tak samo, jak z wolnością. A jak jest z wolnością, to już dawno powiedział Mark Twain:

„Z łaski Boga posiadamy w Ameryce trzy nieocenione skarby: wolność słowa, wolność sumienia i dość rozsądku, aby nie brać tych dwóch wolności na serio”.

Drodzy Czytelnicy!

Niedawny Kongres Ziem Odzyskanych we Wrocławiu stał się potężną manifestacją społeczeństwa polskiego, zjednoczonego wokół zadania dalszego budownictwa na ziemiach zachodnich. Z przemówienia wicepremiera Jędrzychowskiego dowiedzieliśmy się o dotychczasowych osiągnięciach gospodarczych i stałym rozwoju życia kulturalnego nad Odrą i Nysą.

Patrząc na gospodarczą mapę Polski Planu 6-letniego, mówiącą o wszechstronnym rozwoju przemysłu na obszarze całego kraju, warto przypomnieć sobie o białych plamach na mapie gospodarczej w okresie międzywojennym.

Przedwojenny „Kurier Polski” z 1938 r. zamieścił artykuł pt. „Tam, gdzie umiera 70% dzieci. Nędza 7 powiatów pogranicznych”. W artykule tym czytamy m. in.:

„Istnieje w Polsce duży szmat kraju, który słusznie ktoś nazwał „rezerwatem polskiej nędzy”; szmat kra-

ANECDOTY

Sarah Bernard grała w jednej ze sztuk rolę żebraczki...

W momencie, gdy wypowiada słowa. — „Już nie mam siły chodzić... Umieram z głodu...” — spostrzegła na swym ręku złotą bransoletkę, którą zapomniała zdjąć przed wejściem na scenę...

— Więc sprzedaj złotą bransoletkę! — krzyknął ktoś z pierwszych rzędów, który też zauważył ją.

„Próbowałam — odparła niespożona Sarah — ale okazała się fałszywa!”

— I co dalej? — pyta zaciekawiona dama.

— Potem poddałam ją jak najdoskonalszej destylacji przy pomocy środków chemicznych...

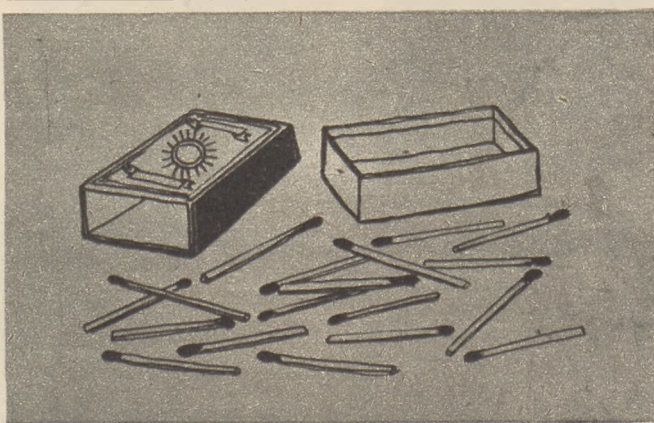
— I co dalej? — pyta zaciekawiona dama.

— Potem znów ją gotuję, lecz przez pół godziny...

— No, a potem?

— A potem odstawiam ją, biorę butelkę dobrego wina i wypijam wino...

(J. P.)



TAJEMNICZY NIEZNAJOMY: Przyznaję się: jestem złodziejem i rabusiem. Ale nie jestem podpalaczem.

KOMENDANT STRAŻY OGNIOWEJ: Wszystkie poszlaki za tym przemawiają.

NIEZNAJOMY: Ale ja mam dowody, że nie jestem podpalaczem.

KOMENDANT: Przedstaw je.

NIEZNAJOMY: Proszę, oto leżą na stole. To przecież wszystkie rzeczy przy mnie znalezione.

STRAŻAK I: Tak jest, wszystkie.

KOMENDANT (sięga po papierosa, szuka zapalek).

NIEZNAJOMY: Pan pozwoli (sięga na biurko, gdzie wśród innych rzeczy przy nim znalezionych, wśród wytrychów, łomów, raka do rozpruwania kas pancernych itp., leży pudełko zapalek najnowszej produkcji naszego przemysłu zapalczanego). Proszę zapalaki.

KOMENDANT (pociera jedną zapalke za drugą. Aż do wyczerpania pudełka — bez skutku): Psiakrew!

NIEZNAJOMY: I wy mnie wzięliście za podpalacza!

KURTYNA

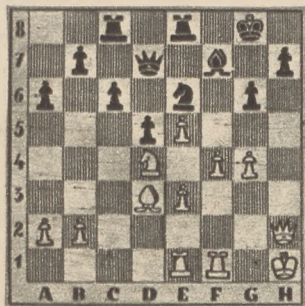


— Manicure poproszę

SZACHY

KOŃCÓWKA NR 7

W partii Petrosjan (ZSRR) — Vaitonis (Kanada), rozegranej niedawno w ramach turnieju międzystrefowego w Sztokholmie, powstała po 26 posunięciach czarnych poniższa pozycja:



Nastąpiło teraz:

27. Sd4—f5! g6:f5.
Czarne muszą przyjąć ofiarę, gdyż nie mają innej obrony przed 28. Sd6.
28. g4:f5 Se6—f8 29. Wf1—g1+ Kg8—h8 30. Hh2—h8 Sf8—g6 31. f5:g6 Gf7:g6 32. Wg1:g6 i czarne poddały się.

*

PARTIA NR 38

rozegrana w spotkaniu USA — Finlandia w finale X Olimpiady Szachowej w Helsinkach.

białe: RESHEVSKY (USA)
czarne: BOOK (Finlandia).

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. g2—g3 c7—c5 4. d4—d5.

Za silniejszą uchodzi kontynuacja 4. Sf3 i np. 4... c:d4 5. S:d4 Hc7 6. Sc3! H:c4 7. e4 Hb4 8. a3 Hb6 9. e5 Sf8 10. Sb5.

4... b7—b5.

Czarne dążą do komplikacji. Dobrą grę dawalo im 4... e:d5

5. c:d5 d6 6. Gg2 g6 7. e4 Gg7 8. Sc3 0—0 9. Sge2 a6 10. a4 We8 11. 0—0 Hc7 12. f4 Sbd7 13. h3 Wb8.

5. d5:e6 f7:e6 6. Gf1—g2 d7—d5 7. c4:d5 Gc8—b7 8. e2—e4 e6:d5 9. e4—e5 Hd8—e7.

Czarne decydują się na to, gdyż skoczek nie ma wygodnego odejścia.

10. Hd1—e2 Sf6—d7 11. Sb1—c3 Sd7:e5 12. Sc3:d5 Gb7:d5 13. Gg2:d5 Sb8—c6 14. Gc1—e3.

Z groźbą 15. f4, co przed tym nie dawalo wobec Se5—d3+!

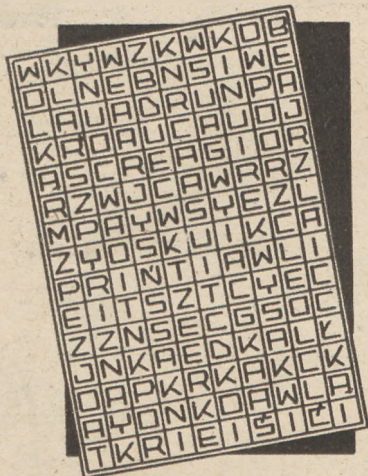
UWAGA: w numerze następnym podamy rozwiązanie zadań naszego ostatniego konkursu rozwiązywanego oraz nazwiska Czytelników, którzy wylosowali nagrody.

14... Wa8—d8 15. 0—0—0 c5—c4 16. Gd5:c6+ Se5:c6 17. He2—h5+ g7—g6 18. Wd1:d8+ Ke8:d8 19. Hh5:b5 He7—e4 20. Sg1—f3! He4:f3 21. Wh1—d1+ Kd8—e8 22. Hb5—b7! Gf8—e7.

Na 22... Se5 nastąpiłoby 23. Hb8+ i 24. H:e5

23. Hb7—a8+ Ge7—d8 24. Wd1:d8+ Ke8—e7 25. Ge8—g5+ Ke7—e6 26. Ha8—c8+ i czarne poddały się, nie mogąc uniknąć maty lub ciężkich strat materialnych.

ROZRYWKI UMYŚLOWE



ELIMINATKA

Z pionowych rzędów liter wykreślić nazwiska 10 wybitnych bojowników o Polskę Ludową. Pozostałe litery, czytane kolejno rzędami poziomymi, dadzą rozwiązanie.

Rozwiązania należy nadesłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

ju, obejmujący 7 powiatów, gdzie od czasu odzyskania niepodległości nie naprawiono nic prawie, gdzie ludność wymiera z nędzy, gdzie nie ma szkół, gdzie są gminy, w których istnieje jeden jedyny murowany budynek, gdzie śmiertelność dzieci wynosi 70%...”

— Niemożliwe! — zakrzyknie każdy, kto przeczyta te słowa — „Gdzież leży ten „kraj”? — pyta obłudnie „Kurier Polski”, jakby nikt wówczas w kraju o tym nie wiedział. „Niestety, to jest prawda — czytamy dalej — a te 7 powiatów leży w odległości niespełna 100 kilometrów od stolicy na północ. To powiaty przygraniczne Prus Wschodnich — Mazury i Kurpie, powiaty szlacheński, suwalski, augustowski, lubawski, częściowo przasnyski, mławski, ostrołęcki i jeszcze inne.

Są to krainy zaklęte, krainy bagien i lasów”.

W tych „zaklętych krainach”, zaklętych nędzą, wyzyskiem i zacofaniem, „życie społeczne nie istnieje w ogóle” — pisze autor artykułu — „choć nie brak różnych „organizacji społecznych”, których jedyną funkcją jest wybieranie raz na rok prezesów”.

Tych właśnie prezesów, którzy z „zaklętej krainy” czerpali zyski, zajeżdżali autami do stolicy na hulanki w Klubie Myśliwskim, albo po łapówkę w okresie przedwyborczym.

ŚWIAT

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 53. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-83.
Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.

Zakłady Wkłoslodrukowe i Introligatorskie
RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 53/72
Zam. 566. Pap. rotogr. V/80-82 cm. 3-B-25460

List do Redakcji

W zamieszczonym przez tygodnik „Świat” (Nr. 37) drugim wyjątku z książki red. Arskiego pt. „Targowica leży nad Atlantykiem”, została popełniona nieścisłość. Pozwalam sobie skierować poprawkę na ręce pana Redaktora, gdyż nie wiem, w jakim stopniu obarcza ona autora książki.

Wymieniając szereg nazwisk podano m. in.: „von Willamowitz, Moellendorff...”

W rzeczywistości nazwisko to brzmi inaczej: von Willamowitz-Moellendorff (a więc jedno nazwisko, nie dwa).

Jest to ziemczona szlachta polska o bardzo starym herbie (Powala-Ogończyk), która miała zatwierdzone szlachectwo w Prusach w 1815 r.; jedna jej linia otrzymała tytuł hrabiowski w 1884 r., inna — baronowski w 1857 r. Z tej ostatniej pochodził Ulrich von W.-M., ur. w 1848 r., zmarły bodajże w 1930 r., najwybitniejszy chyba filolog klasyczny ostatnich czasów, ale przedstawiający typ wiernopoddanego junkra pruskiego.

Warto może byłoby — pisząc ogólnie o renegatach — wspomnieć w dwóch słowach o dziwnych losach herbu Powala.

Łączę wyrazy poważania
Michał Horoszewicz.



TANIO i ŁADNIE

Ponieważ meteorolodzy mieli jednak rację i rzeczywiście ocieplilo się — po raz ostatni w tym roku pokazujemy odzież jesienną, żeby, poczuwszy od następnego numeru, przejść do palt zimowych, pelis itp. Na lewo u góry widzimy ładny płaszcz reglano-

wy, tył luźny, kloszowy. Pasek obejmuje tylko przód. Niezbyt duże kieszenie na wierzchu, szeroki mankiet i normalny, wykładany kołnierz — tworzą całość bardzo efektowną. Obok, na prawo, praktyczna kurtka z welwetu, może być również z imitacji

zamszu, gabardyny, podbitej ciepłą podszewką — albo po prostu z welwu, popularnie zwanej „sześćdziesiątką”. Prosimy zwrócić uwagę na sposób wiązania chustki — i na kapelusze do obu modeli.

Na dole paito zimowe, gotowe, których wielki wybór posiadają Domy Towarowe.





Niepowstrzymana siła

Czsan Diu

Z okazji trzeciej rocznicy proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej i trzeciej rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej zamieszczamy rysunki satyryków chińskich i niemieckich.



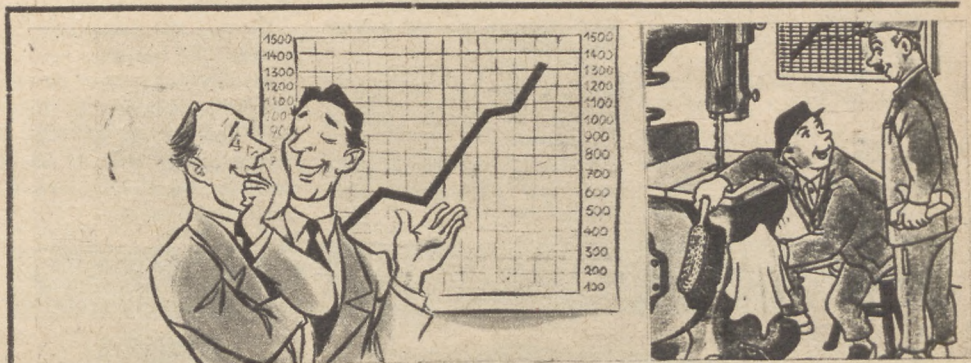
Czang Kai-szek na łożu śmierci.

Czao Wen-juan



Ostry kontrast.

Hun Huan



— Czy tak podniósł się obrót po ostatniej niżce cen?
— Niezupełnie, ostatni skok jest wynikiem tygodnia uprzejmości sprzedawców.

— Każdy przejaw troskliwości odwzajemnia podwójnie na liście wypłat...

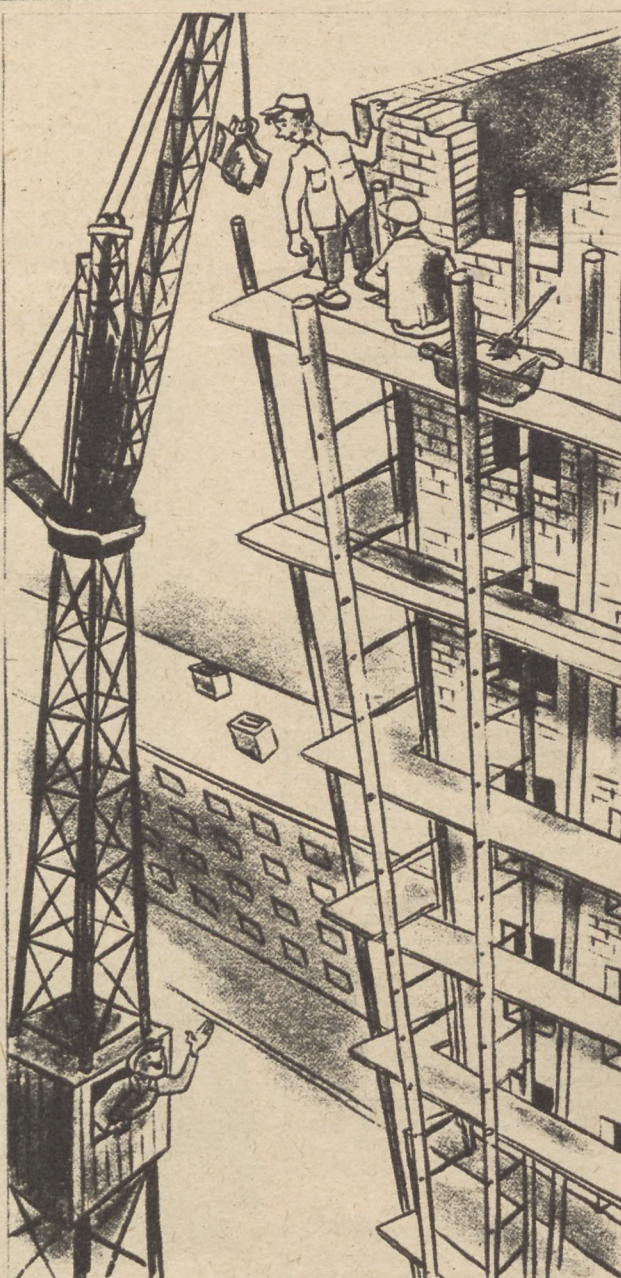
Rys. Klamann

Rys. Harri Parschau



Ostatnie schronienie.

Czu Dañ



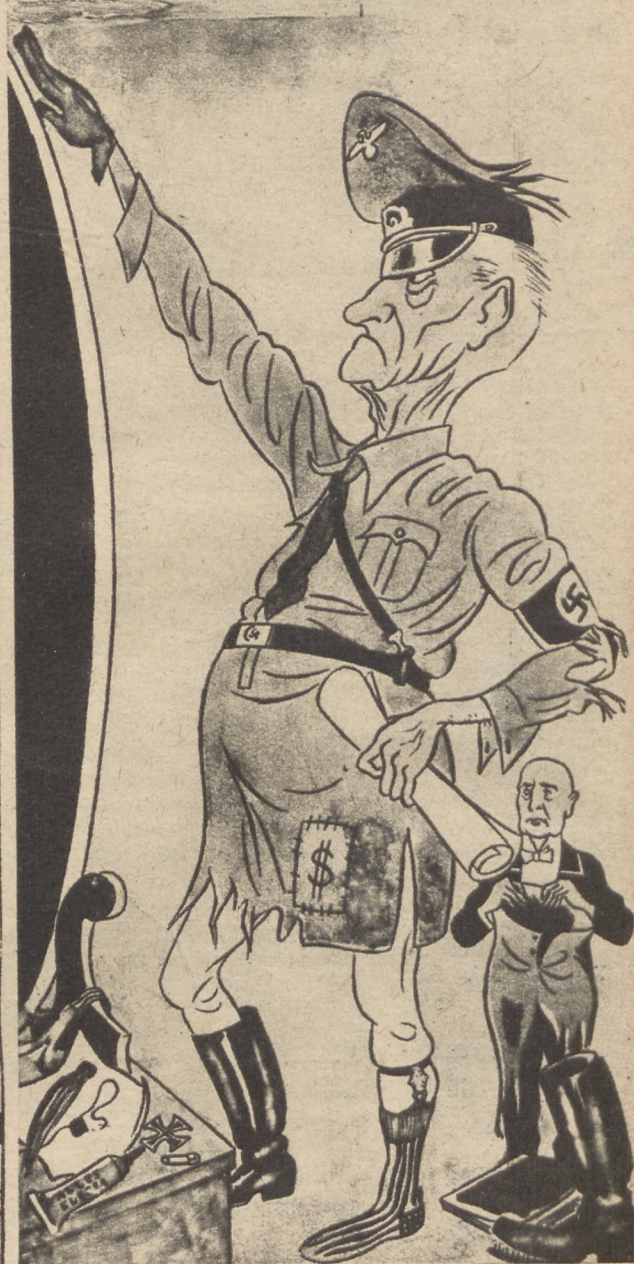
Rys. Klamann

— Uważajcie, jedzie wasza wypłata!



— Szukaj pana, szukaj...

Rys. Kurt Poltiniak



Rys. Kurt Poltiniak

— Powszechnie mówią, panie Kanclerzu, że pańska droga na Ural kończy się zaraz za Bonn!